

Łódź literacka

CZASOPISMO ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH
Styczeń 1955

Cena zł 1.20

WŁADYSŁAW PAWLAK

DZIEŃ STYCZNIOWY

NOC była mroźna i pogodna, z wieczora świecił księżyc. Gdzieś nad Pabianicami i Tuszymem czerwienili się łuny, lecz w mieście było cicho. Jedynie po pabianickiej szosie przelewała się rzeka większych i mniejszych samochodów, wszelkiego rodzaju wozów i wózków, dorożek, motocykli i rowerów. W mundurach i w ubraniach cywilnych, pieszo i na wszelkich pojazdach, tłocząc się wśród kłatw, wrzasków i nawoływań, sunęli na zachód niby lawa wylewająca się z paszczy krateru. Wszystko mieszało się, lawirowało, kłębiło. Raz po raz na drodze tworzył się zator, przed którym zbijał się kłęb ludzi i pojazdów, pęczniąc, rosnąc i wylewając się na boki. Przez rowy i pola uchodzili jedni przed drugimi, pędzeni obłąkanym przerażeniem, byle wymknąć, byle jak najdalej i jak najprędzej...

Uchodząc wirowali w chmarach jak szarańcza. Mężczyźni i kobiety, dzieci na wozach i obok nich, z tłumokami na plecach, ciągnąc i popychając wózki czy sanki, poglądali strachliwie w mrok i na łuny pożarów, nasłuchiowali odgłosów dalekich strzałów. Złorzeczyli wszystkim i sobie, gnani opętańczym strachem z miasta, w którym się zadowolili i czuli tak dobrze.

* * *

Od rana był mroź. Dzień wstawał pogodny i słoneczny, ze wschodu wiał zimny wiatr. Miasto trwało jakby zasłonięte kurtyną, pozornie nic się w nim nie działo. Słuchało bacznie pomruku wydarzeń, rozgrywających się na jego przedpolach.

Nie wiadomo kto i skąd strzelał. Kule stuknęły o drewniane ściany domów na przedmieściach. U Klimczaków pozamykano okiennice, a i to niebezpiecznie było w mieszkaniu. Baśka nie mogła usiedzieć spokojnie. Nie bacząc na prośby matki, wyrwała się co chwila na strych i przez okienko na dachu patrzyła na pola. W mrocznym pokoju pozostały tylko starsze kobiety, zatrwożone i niepewne.

Nagle na schodach załomotały kroki Baśki. Wpadła do pokoju.

— Idą! — krzyknęła od progu. — Idą! Mamo, pani Chmielecka...

Kobiety zerwały się z krzesel. Stały jak urzeczone, mamrocąc coś z przejęcia. Chmielecka podniosła do oczu róg drukowanego fartucha.

— Chodźcie na strych, popatrzmy — nalegała Baśka łapiąc matkę za rękę.

Jak okiem sięgnąć rozciągała się śnieżna biele, w której terkotały karabiny maszynowe. Od horyzontu zbliżały się ku miastu figurki żołnierzy. To byli ci, na których Łódź czekała tak długo, rok prawie. Jawili się teraz — w walce, trudzie i znoju. Kobiety patrzyły w zapamiętaniu.

Na dole rozległy się czyjeś kroki i energiczne pukanie.

— Kto tam? — niecierpliwie spytała Baśka.

— Towarzyszko Basiu — mówił Gabrys, — Schodźcie, schodźcie zaraz.

Wszystkie trzy szybko zeszyły po schodach.

— Idziemy — mówił podniecony Gabrys. — Obejmujemy władzę... Macie się stawić natychmiast w naszym komisariacie.

Nie pytając o nic dziewczyna ubierała się do wyjścia. Gabrys nie mógł zachować spokoju.

— Policja uciekła już wczoraj, a gestapo — zaraz po bombardowaniu. Na ulicach gdzieniedzie tylko błakają się hitlerowcy. Armia Radziecka idzie... Obejmujemy władzę...

— Wywiesimy chorągiew — zawołała Baśka i pobiegła na górę.

Wydobyta z ukrycia chorągiew załomotała czerwienią.

— Co wy robicie? — zafrasowała się Klimczakowa. — Jeszcze za wcześnie.

Nie zważali na jej słowa, a potem poszli szybko w stronę komisariatu. Na ulicy tu i ówdzie powiewały już czerwone i białe-czerwone flagi. Ludzi nie było widać. Czasem tylko, to tu, to tam przemknął ktoś do sąsiadów, by podzielić się wiadomościami. Przed komisariatem natomiast stała duża grupa mężczyzn. Baśka poznawała wielu, o niektórych wiedziała, że są członkami partii. Wszyscy razem dobijali się do drzwi, rwali je, wyważali żelaznymi dragami. Trzasnęły wreszcie pod naporem ramion.

— Ostrożnie — mitygował towarzyszy Chmielecki.

Mimo przestrogi wtargnęli hurmą. Zrywali ze ścian portrety Hitlera i innych faszystowskich dygnitarzy, darli je, deptali. Szli od pokoju do pokoju. W zbrojowni zastali tkwiące w stojakach karabiny; pełno amunicji leżało na podłodze. Chmielecki powstrzymywał

ludzi od bezładnego chwywania za broń.

— Grzelak, jesteście zbrojnymistrzem — rzekł do jednego z towarzyszy. — Wydawajcie karabiny i amunicję, zapisujcie, kto i co bierze.

Spostrzegł Baśkę, która nadeszła z Gabrysiem.

— Siadaj przy biurku. Zapisuj zgłaszających się do milicji — rzekł do dziewczyny. Sam wziął automat i szedł do kancelarii.

— Gdzie jest towarzysz Chmielecki? — wołał od wejścia Krawczyk.

— Tutaj jestem, tutaj — odpowiedział idąc w stronę pytającego.

Krawczyk dyszał lekko.

— Z polecenia towarzysza Michalskiego — mówił — macie wziąć kilku milicjantów i oczyścić teren fabryki. Zajfert z hitlerowcami zabarykadował się w kotłowni.

— Wykurzymy ich raz dwa! Zrobimy z nimi porządek! Chmielecki, idźmy! — wołali ludzie wypełniający pokój.

— Kto na ochotnika? — Chmielecki patrzył na cisnących się do niego robotników.

— Wszyscy idziemy — odpowiadał podnieceni.

Wybrał niektórych i zorganizowawszy ich naprędce wyprowadził na ulicę.

Na chodnikach stały gromady ludzi wypatrzących w stronę oczekiwanych żołnierzy radzieckich. Właśnie zza rogu ukazała się pierwsza grupka, uważnie penetrując ulicę. Rzucili się ku niej wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci. Chwytali żołnierzy za ręce, przyciskali do piersi, całowali. Zewsząd wynoszono napoje, chleb, wędliny.

Żołnierze pokazywali w uśmiechu zęby, dziękowali z odrobiną zniecierpliwienia. Tworzył się wokół nich ścis;

MARIAN PIECHAŁ

19. I. 1945

O zimo wyzwolenia, krwi i chwały żniwa,
gdy przyszła armia gniewu, armia sprawiedliwa,
gdy zaczęła się armat radosna muzyka,
ta, która mrok rozpruwa, która świt odmyka!
Czołg po czołgu z gardzieli wydmuchiwał zorzę,
góram zorza, a pod nią pocisk ziemię orze.
Przełot gwiazd, jakby iskier z parowozu, szybki:
helmy, helmy, papachy, wśród nich rogatywki!

Grzmijcie, działa potężne, akordami ognia,
niech pada w proch i popiół niewola i zbrodnia!
Wzywamy was, lotników i artylerzystów,
mówcie do nas językiem błysków i pocisków!
Wyprowadźcie nas z nocy w jasne światła dzieje,
każdy strzał wasz, to słońce, od którego dnieje!

Gasił nadzieje wrogów, a rozniceł nasze,
błyskawicami zionąc, ciężki katusz kaszel.
W nasze uszy ich echa, w nasze oczy błyski,
a w gniazda wrogów były celne ich pociski.
Wolność w nas od wystrzału rosła do wystrzału,
aż wreszcie strzał ostatni oddał nam ją całą.

Armio Czerwona, nasza pamięta Cię ziemia,
kiedy wróg jak śnieg stopniał, Armio Wyzwolenia!

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

ZAMIEĆ W ŁODZI

Jak kiedy czasem kto pastel zetrze,
Biało zatarte jest miasto całe, —
I w takim śniegu, i w takim wietrze
Trzepią się barwy czerwono-białe...

A ponad śniegiem drżą błyskawice! —
Z bijącym sercem człowiek wychodzi
Powitać znane dawno ulice,
Powitać flagi w nowej Łodzi.

3. III. 1945



Rzeźba

J. Bandura

musieli sobie drogę torować, aby posuwać się naprzód. Gromady dzieci pomykały za nimi i przed nimi.

Nadjechał motocykl i zatrzymał się na chwilę. Żołnierz zeskokczył z siodełka, by usunąć jakiś defekt. Rzuciła się ku niemu cała hurma wyrostków. Chcieli pomóc, gestykulowali gorąco, popisywali się znajomością nie wiadomo gdzie usłyszanych rosyjskich słów.

Na ulicę wyjechał samochód z oficerami. Tłum rzucił się z chodników na jezdnię, wymachując na powitanie chorągiewkami.

— Niech żyje Stalin! — krzyczano. Samochód musiał zwolnić. Z trudem przeciskał się między opornie ustępującymi z drogi ludźmi.

— Niech żyje Armia Czerwona! — Huczący okrzyk niby bezustanny grzmot szedł wśród coraz tłumniej wylęgających na ulicę ludzi. W całym mieście, ze wszystkich domów wychodzili mieszkańcy tłocząc się na chodnikach i jezdniach. Nikt nie mógł usiedzieć w mieszkaniu, nikt nie mógł milczeć. Wszyscy mówili; każdy znał inne szczegóły. Opowiadano sobie tysiące zdarzeń i wypadków. Dzień stawał się tak obfity w wydarzenia, jak całe życie.

Na zbiegach ulic wyrastali milicjanci z czerwonymi opaskami na rękawach. Zorganizowane jeszcze podczas okupacji grupy obsadziły ważne obiekty, gmachy, fabryki, strzegąc ich od pierwszej chwili.

Jechało teraz coraz więcej wojska.

— Czołgi, czołgi! — wołano na widok żelaznych kolosów z chrzęstem i warkotem przetaczających się po brukach. Okrzyki i gwar entuzjazmu wzrastały ustawicznie.

Chmielecki z robotnikami, z trudem przedzierając się przez zatłoczone ulice, doszedł do fabryki. W portierni miał werkszuców stali strażacy, nad którymi obją przewodnicwo Górniak, przedwojenny komendant fabrycznej straży pożarnej. Wysoki, tęg, z pasem opiętym na wystającym brzuchu, zbliżył się do Chmieleckiego.

— Ten drań Zajfert nie zdążył uciec — mówił. — Z kupą werkszuców i hitlerowców zamknął się w kotłowni. Tłuką maszyny, zakładają miny. Chcą całą kotłownię wysadzić w powietrze. Spieście się. Nie podchodźcie od frontu. Gdy tylko kogo ujrzą — strzelają.

Chmielecki kroczył z robotnikami wzdłuż pustych ulic fabrycznych. Głu-

cho i martwo stały wielkie bloki, niedawno pełne nerwowego napięcia i wstrząsów. Idąc naradzali się.

— Część pójdzie od frontu, a część zza drukarni. Spróbujemy wdrzeć się od toru kolejowego — wydawał polecenia Chmielecki.

Rozdzielili się, ale zaledwie znaleźli się w polu widzenia kotłowni, załomotały karabiny i kule posypały się na beton ulicy. Zatrzymali się, kryli za załomami terenu, czołgali się w stronę budynku kotłowni, z której hitlerowcy prażyli gęsto. Odpowiedzieli ogniem automatów — bezskutecznie. Trzeba się było kryć.

Chwilami było cicho, tak jakby prócz martwych bloków fabrycznych i śnieżnej bieli nic więcej nie istniało, ale gdy tylko któryś z robotników wychylił się nieznacznie, hitlerowcy zaraz strzelali w jego stronę.

Chmielecki przywołał do siebie dowódców grup.

— Musimy próbować inaczej, kanałami — zdecydował. — Przedrzemy się od flajerni. Wy tu starajcie się nie dawać im spokoju.

Wycofał się z kilkoma ludźmi. Weszli na jedną z pustych sal i znanymi sobie przejściami przedostali się do kanału. Po omacku kierował się w stronę kotłowni, skąd dochodziły odgłosy młotów.

Do maszynowni weszli bez przeszkód. Hitlerowcy zajęci byli turbinami, widać było jak zakładają pod nie ładunki. Chmielecki skinął ręką — poszła seria z automatów. Huk, krzyk i potem — cisza.

Spojrzeni zza maszyn, które ich osłaniały. Dostrzegli Zajferta, pełzącego na czworakach w stronę turbiny. Przytknął trzymaną w dłoni zapalniczkę i podniósł ją do góry. Coś się zatliło. Chmielecki w jednej chwili rzucił się naprzód i wyrwał lont, który już się dopalał.

Zajfert odwrócił się. Dostrzegł Chmieleckiego i skierował lufę karabinu w jego stronę. Nad wylotem kanału zadudniła seria z automatu, a gdy pogłos strzałów uciął, Chmielecki ujrzał hitlerowca rozciągniętego na posadzce, tak jakby ją chciał rozerwać sztywniejącymi szponami palców.

Robotnicy szybko znaleźli się przy Chmieleckim. Klepali go po plecach, ściskali mu dłoń. Maszyny, fabryka i oni sami byli uratowani.

WŁADYSŁAW PAWLAK

ZABAWA W DOROSŁYCH

WYOBRAŻMY sobie, że minęło od naszych dni równe 20 lat, a my — w gronie starych przyjaciół — rozpoczynamy rok 1975. Jak to zwykle przy tego rodzaju okazjach bywa — sypią się wspominki; ktoś wreszcie pyta dawnego ZMP-owca, jak mu upłynęła młodość.

— Kochałeś się, marzyłeś, prawda?
— Likwidowałem głównie przestoje tokarki...

— Miałeś zapewne mnóstwo młodeńskich przygód?
— Oszczędzałem cenne metale, walczyłem o obniżkę kosztów własnych.

— Mnóstwo czytałeś, co?
— Mam za sobą kilka tysięcy zebrań i kilkadziesiąt kursów...

— Pogodne, jasne to były lata, nie?
— Uważałem, żeby się nie „wychylić” i rzeczywiście dojrzałem do wieku dojrzałości bez „haczyka” w życiorysie...

— Tak, tak, nie ma to jak młodość!
Czy aby nie puszczamy zbyt swobodnie wodzy naszej fantazji? Czy rzeczywiście tak jednostronnie, ubogo przedstawia się życie naszej młodzieży?

Sięgnijmy po typowy ideał współczesnego ZMP-owca. Gdzież go szukać, jeżeli nie w „Sztandarze Młodych”? Tam go dopiero opiewają reportażyści!

„Ostatnie trzy dni przed rozruchem Chomentowski nie wychodził z zakładu. Nie pamiętał nawet o tym, że z pewnością niepokoił się o niego rodzice...”

Tymczasem w ciągu trzech dni rodzice Chomentowskiego przeżywali niepokój o syna. Szukali go w szpitalu, dali znać na milicję (nr 210 — 4. IX 54 — „O marzeniu, muzyce i innych sprawach”).

I oto bohater, skrzyżowanie młodego mnicha z synem marnotrawnym, — poszukiwany przez milicję. Być może, porównania te trochę kuleją, nie przesłaniają jednak istotnego obrazu naszej młodzieżowej rzeczywistości.

Warto, doprawdy, warto pomyśleć nad tym, skąd wziął się u nas bezsensowny, obcy prawdziwej młodości ideał ZMP-owca. Solenna sztywność, nadmierna powaga, bezwzględna wiara w życiodajną moc długich referatów, sprawozdań i odgórnych dyrektyw, wyłączone zainteresowania dla spraw organizacyjnych, polityki i produkcji, obojętność na zdrowe uśmiechy życia — takie, zgrubsza rzecz biorąc, posiada on cechy.

Gdzie go można spotkać? Każdy, kto uważnie śledzi przebieg wielkiej dyskusji, prowadzonej na łamach prasy z racji nadchodzącego II-go Zjazdu ZMP, bez trudu odpowie, że spotkać go można — niestety — wszędzie.

Ludwik Krasucki, szeregowy członek ZMP, tak określa sztywnych aktywistów: „Aparat nasz, aktywny, bardzo często zamienia się w ludzi zbierających sprawozdania, informacje i meldunki, czasem wystawiających opinie...”

W ciągu 6 lat należenia do organizacji nie spotkałem żadnego działacza młodzieżowego, który umiałby zorganizować jakąś ciekawą zabawę towarzyską, który umiałby jakimś ciekawym opowiadaniem zainteresować zebranych. A na ogół o tym, żeby nasz działacz znał się na muzyce, sztuce, malarstwie — nie ma mowy”. („S.M.” nr 304 — 26. XII 54).

Mamy za sobą wprawdzie tylko dwa cyaty, ale i tyle starczy, żeby poważnie się zaniepokoić. Trzeba tu mówić o paradoksalnej zaiste sytuacji. Odmłodził nasz kraj, a nasza młodzież — zestrzała się. Z jednej strony, coraz więcej młodych buduje Warszawę, Nową Hutę, wypełnia hale fabryczne, obsługuje traktory w POM-ach, walczy z ugorami, z drugiej — ulega niebezpiecznej chorobie, którą można określić jako przedwczesną utratę młodości, nienaturalną, sztuczną dojrzałość, pozabawioną młodzieżowej fantazji, śmiechu, pomysłowości. Zjawisko to można by również nazwać dziwną zabawą w dorosłych.

A coż to takiego — zabawa w dorosłych? Coś w rodzaju próby podciągania praktycznego życia ZMP-owców do poziomu bohatera zlej, schematycznej powieści o młodzieży.

Kiedy 14-letni, świeżo upieczony ZMP-wiec już od pierwszych miesięcy pobytu w kole wystuchuje referatów, z których dowiaduje się, że otaczające go życie składa się w gruncie rzeczy z „szczebli”, „odcinków”, „linii”, „płasz-

czyzn”, „platform” i „baz”, kiedy z trudem usiłuje zrozumieć dojrzewanie przesłanek rozrządzenia wsi w układzie wczesnokapitalistycznym — wówczas zabawa w dorosłych wciąga go w swój krag. Rychło nauczy się „brać” udział w anemicznej dyskusji stwierdzając, że referat był tak wyczerpujący, iż niesposób cokolwiek do niego dorzucić, nie zaśpiewa, lecz odśpiewa hymn młodzieżowy, po czym — jako już „podszkolony” ZMP-owiec — pójdzie spokojnie strzelać do wróbla z procy, wystawiać beznamiętnie na rogu ulicy lub zajrzy do gospody, jeżeli ma więcej lat i pracuje zarobkowo. A to dlatego, że w minutę po zebraniu nie pamięta nic ze wzniosłych idei referatu, nie zauważa nawet, że prelegent mówi zupełnie ludzkiem językiem. Oczywiście — po zebraniu.

I oto mamy pierwszy rodzaj skutków zabawy w dorosłych. Nie można zmusić młodego człowieka, żeby kochał, szanował i chciał korzystać z tego, co jest po prostu — nudne. Dorasta więc poza organizacją, w sposób niekontrolowany szuka ujęcia dla nagromadzonej energii, szuka świata bogatych przeżyć, przygód i sensacji, w którym zmieściłby się potrzeby jego 14-tu czy 16-stu lat.

Może się wszakże zdarzyć, — i to wcale nie będzie lepiej — że młody człowiek weźmie zupełnie serio wskazówki referatu i popróbuje ściśle według nich żyć. Otrzymamy w rezultacie wspomniane już skrzyżowanie mnicha z marnotrawnym synem. Mnich — nie jest tu najgorszym określeniem. Iluż to bowiem działaczy młodzieżowych cechuje swoista dewocja, naturalna matka obłudy. Gotowi są i oni usunąć chłopca z organizacji za to, że pocałował dziewczynę, studiując ankiety perso-

nalne do siódmego pokolenia, śledzą bacznie, czy aby członkowie koła nie mają kontaktów z obcymi klasowo dziewczętami.

Młodzieżowy świętoszek przypomina — jak ktoś słusznie zauważył — beznamiętnego laboranta, który traktuje członków organizacji niczym próbówki. Wlewa do nich odpowiednią miksturę, przyrządzoną z cytatów i sloganów, czeka następnie spokojnie na wynik reakcji, którą powinna w rezultacie przynieść wysoka świadomość polityczną młodzieży, przyspieszyć wykonanie planów produkcyjnych, obniżyć koszty, zapewnić rytmiczność, zapobiec wpływom obcych ideologii.

I marnotrawny syn — to wcale dobre określenie — ZMP-owski Tartuffe lekceważy rodziców. To ludzie starszy, często „schyłkowcy”, żywe remanenty, których upłynięcie niesposób. Nie dadzą się właściwie „ustawić”, nie rozumieją zadań ZMP. Serca matki nie uszanuje, zapomni o niepokojach ojca, rzeczywiście pojedzie bez słowa na jeszcze jeden kurs, albo utknie w fabryce, a potem z satysfakcją przeczyta reportaż o swoim bohaterstwie. Jakże się muszą niepoważnie wydać w takiej chwili zmartwione twarze rodziców. I tak to nasz bohater wywołuje bardzo niebezpieczne rozdziewki pomiędzy pracującymi pokoleniami.

Marnotrawny syn stanowi i z innych względów słuszne określenie. Na zebraniach członków ZMP w Siedlcach padały pod adresem kierownictwa organizacji młodzieżowej ostre słowa krytyki. Mówiono o „znieczulicy”, jednym ze skutków zabawy w dorosłych. „Znieczulica” polega na zupełnym niedostępnym specyfiki życia młodych. Jest to, inaczej

mówiąc, kurza ślepota na to co młode, co wyraża pragnienie młodości. Postawiono w końcu pytanie, dlaczego ZMP w Siedlcach nie może kierować marzeniami młodych mieszkańców miasta. „Jeżeli można się tak wyrazić — dlatego, że jesteście jeszcze za starzy” — odpowiedział sekretarz K. M. PZPR tow. Szort.

I znowu paradoks, rzecz bowiem w tym, aby naszej młodzieżowej organizacji nie przybywało lat, lecz przeciwnie — ubywało. To pozorne nieprawdopodobieństwo pozwala zrozumieć jedno z największych marnotrawstw w ZMP — marnotrawienie młodości, zacieranie młodzieżowej specyfiki w codziennej, praktycznej działalności.

Pomiędzy młodzieżowym bohaterem niedobrej książki a żywym ZMP-owcem jest jednak zasadnicza różnica. Pierwszemu może autor wyjąć serce, może zabronić spania w domu, odmówić regularnych posiłków, odbierze mu uśmiech, zakaże patrzeć na dziewczynę, zmusi do wyłącznego przebywania w świetle maszyn i wskaźników produkcji, może go przyprowadzić do radośnie dreszczu na widok formującego się prezydium narady produkcyjnej. Papierowy człowiek jest — można powiedzieć — z żelaza, wszystko znieśie. A żywy?

Żywy, ciekawy świata, żądny wrażeń młody człowiek buntuje się przeciw mniomom, dewocji i znieczulicy, pragnie radości, chce marzyć. Stop!

Czy wolno marzyć? Gdyby takie pytanie postawili „dorosłemu” aktywiście — to się na nas z miejsca rzuci. Będzie pokrzykiwał, że prawdziwy komunista „do którego dąży ZMP” — myśli realnie. Wyjaśni następnie, że marzytelstwo i romantyzm — to niebezpieczne cechy narodowe Polaków — nieraz nas drogo kosztowały. Z tego też powodu nie są na „linii” i trzeba je zwalczać. A jeżeli już ktoś musi trochę pomarzyć, to w niewielkim zakresie i tylko na

wczasach, oczywiście po uprzednim uzgodnieniu ze szczeblem wyższym.

Tymczasem, jak wykazuje przedzjazdowa dyskusja, ZMP-owcy sami dostrzegają, że twórczych marzeń jest w ruchu młodzieżowym stanowczo za mało. Twórczych marzeń? W jakikolwiek sposób marzenie, a więc coś, co w gruncie rzeczy leży poza rzeczywistością — może być twórcze, oddziaływać na bieg realnych, życiowych spraw? Ano może.

Przed niedawnym czasem zwierzał się przez radio Edmund Osmańczyk ze swoich wrażeń, jakich doznał w czasie dyskusji z młodzieżą Szczecina na temat pokojowego zastosowania energii atomowej. Znamienny publicysta zdumiony był twórczą, rzec by można — realistyczną fantazją młodych, ich niezwykle trafnym widzeniem przyszłości, Pola Hiroshima, spustoszone bombą atomową, okazały się po latach niezwykle urodzajne, a to znaczy, że odpowiednio przygotowany, nieszkodliwy dla ludzi pył radioaktywny będzie już niedługo użyźniał nasze pola — wołali młodzi rolnicy. Wyciągnęli górników spod ziemi, energia atomowa poruszy wszystkie fabryki, dostarczy światła — mówili młodzi inżynierowie. Jak nam oddać węgiel, będziemy z niego robić cuda — zapewniali chemicy... Oto zebranie marzycieli, w którym do głosu doszła prawdziwa młodość, jej nigdy nie wyczerpana wiara w możliwość pchnięcia świata na nowe tory! I nie jest chyba przypadkiem, że tego rodzaju zebranie odbyło się w mieście, gdzie młodzież stanowi większość mieszkańców.

No a teraz weźmy na odwagę i zapytajmy naszego świętoszka, co sądzi o tym, aby na zebraniach trochę więcej mówiono o problemach moralnych, na przykład o... miłości? Ciekawe, co odpowie? Otóż wcale nie ciekawe. Zauważy po prostu, że rzecz nie nadaje się do dyskusji. Moralnie wartościowy jest ten, kto plan realizuje z nadwyżką, zbiera piątki w szkole, obsługuje regularnie zebrania, nadsyła sprawozdania w terminie. Co tu dyskutować? Miłość między chłopcem a dziewczyną? No owszem, istnieje taki problem produkcyjny, ale poruszaj go na bieżącym etapie byłoby przedwczesne, zresztą dyrektów brak — oto co!

Tymczasem nawet oschły skądinąd, stroniący od pokazywania osobistych, duchowych spraw młodzieży „Sztandar Młodych” zapalił się ostatnio do problemów moralno-obyczajowych, szczególnie zaś... miłości. Owo odmłodzenie, o które tak bardzo chodzi, zawdzięcza pismo — swoim czytelnikom, którzy raz po raz dotykają w dyskusji przedzjazdowej tych spraw. Czemuż tak się dzieje, czemuż to młodzież woła o nie?

Miłość, szczególnie — ta pierwsza, jak w ogóle zagadnienia moralne, była, jest i będzie zawsze w centrum uwagi młodego pokolenia, tego właśnie, które bije normy, zawieszka kolorowe wiechy na ukończonych domach, zwalcza przestoje maszyn i oszczędza cenne metale. Wymija ją w dyskusjach, imprezach artystycznych, prowadzi na gruntu dramatycznych zmagających na manowce teoretycznych, referatowych rozważań — znaczy akurat tyle, co odcinać się od prawdziwie młodzieżowego, żywego nurtu zainteresowań młodzieży. I nie tu milczenie nie pomoże, przeciwnie — zaszkodzi. Milczenie bowiem sprawia, że młodzież dyskutuje problemy życia moralnego pokątnie, czerpie wiedzę właśnie u obcych klasowo doradców, czyta złą literaturę, ulega naturalistycznej koncepcji człowieka, słacza się często na manowce chuligaństwa, alkoholizmu, nawet rozpusty. Bez stalego rozstrzygnięcia problemów moralno-obyczajowych i to w formach możliwie najbogatszych, od pogadanki do imprezy artystycznej — nie może być mowy o pełnym wychowaniu socjalistycznej młodzieży.

Związek Młodzieży Polskiej przechodzi obecnie pewien charakterystyczny proces, który można by przyrównać do zabiegu kosmetycznego. Usunięcie sztucznych zmarszczek, odrzucenie kłopsko przyklejonej brody, tak aby ukazała się roześmiana twarz młodego człowieka — oto cel zabiegu. Czy zabieg się uda? Niezawodna pod tym względem gwarancję daje sama młodzież. Przecież to głównie ona pragnie skończyć z niepotrzebną zabawą w dorosłych, walczy uporczywie o powrót młodości do ZMP.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JERZY MILLER

LATA WALKI

18-go stycznia 1945 roku operator Kroniki Filmowej fotografował dopalające się mury Radogoszcza, jednego z dziesięciu karnych obozów, czynnych na obszarze województwa łódzkiego.

Tasma filmowa utrwalała moment rozpoznawania zwęglonych zwłok przez rodziny pomordowanych. Do wielu filmów wyświetlanych w mieszkaniach powojennych dołączono ten straszliwy dokument zbrodni niemieckiego faszyzmu.

Spółczesność polską dowiedziała się, że hitlerizm objawiał swą niszczycielską siłę nie tylko na terenie t.zw. Generalnej Gubernii, lecz również na ziemiach polskich włączonych do Reichu. Jeśli wieści o bohaterstwie walce, jaką Warszawa czy Lubelszczyzna toczyła z okupantem, docierały do świadomości Polaków już w czasie jej trwania, to walka z wojenną maszyną hitlerizmu prowadzona np. na terenach „Warthegau”, a zwłaszcza w samej Łodzi, nigdy nie zyskała należytego rozgłosu.

Przeglądam kartki życiorysów, pamiętniki i wspomnienia z lat 1940-45. Wszystkie akcje, podjęte i zrealizowane w Łodzi owych lat, nabierają wysokości ciężaru gatunkowego. Walka podziemna, w atmosferze stałej policyjnej inwigilacji wszelkich przejawów życia polskiego w „Warthegau”, miała do pokonania odrębne, gdzie indziej niespotykane trudności. I tak np., żeby wydawać gazetkę, trzeba było powielacz, inaszynek do pisania, a nawet papier zdobywać drogą zbrojnej konfiskaty. Względem ostrożności uniemożliwiał konspiracyjnym zakup czegokolwiek, co mogłoby nasuwać najbliższe podejrzenia. Radio przez pewien czas ukrywano w psiej budzie albo też, po wysłuchaniu komunikatu, chowano do studni. Dość długo jedynymi dostawcami wiadomości byli Niemcy-antyhiterowcy. Lecz nawet za sięganie wiadomości tak drogą było niebezpieczne, ponieważ gestapo zakazało Niemcom i Polakom utrzymywania stosunków prywatnych.

Więści o powstaniu P.P.R.-u dotarły do Łodzi na początku 1942 roku za pośrednictwem Z.W.Z.-etowskiej prasy, przemycanej z Warszawy na obszar „Warthegau”. Nie trudno sobie wyobrazić, jak owe pisma, nawołujące do przycięcia wobec hitlerowców postawy wycofującej, oświeślały fakt powstania Partii, która wysunęła hasło walki na śmierć i życie z okupantem. Lecz ta właśnie nieukrywana nienawiść Z.W.Z. uprzytomniała robotnikom łódzkim, że nowopowstała Partia jest ich partią. I zanim jeszcze Komitet Centralny P.P.R. nawiązał kontakt z łódzkimi organizacjami, jeden z członków komitetu redakcyjnego gazetki „Za naszą i waszą wolność”, wydawanej przez byłych kapepów, przekradł się przez granicę do Warszawy i po nawiązaniu łączności z władzami partyjnymi przywiózł do Łodzi instrukcje i okólniki P.P.R., które wytyczne zostały entuzjastycznie przyjęte przez łódzkie aktywność robotniczą.

Więść o Partii prawie natychmiast obiegła całą Łódź. Zdarzało się, że ludzie ściskali się i całowali po fabrykach.

Wiadomość, że „stary ojciec” Nowotko stanął na czele P.P.R., że tow. FINDER i JÓZWIAK, bojownicy dawnej K.P.P., należą do centralnych władz partyjnych, wzbudziła zaufanie łódzkiego środowiska robotniczego. Od tej chwili P.P.R. zaczęła szybko zwiększać swoje wpływy i już w końcu 1942 roku stała się jedyną realną siłą polityczną na terenie „Warthegau”.

Jak wielka jest siła proletariatu, świadczy o tym przykład Łodzi. Otoczona koszarami, naszpikowana oddziałami S.S. i żandarmerii, spętana, zdawałoby się, władztwem brunatnych koszul, działówk stowarzyszeń niemieckich o charakterze policyjnym, zaizolowana tysiącami bałtyckich, wołyńskich i rumuńskich Volksdeutsche — nie zaniechała oporu.

Pod boki Instytutu do badania rasowości, w fabrykach kierowanych przez treuhänderów, pod uważnym okiem szpicli i palkarzy straży przemyślowych, toczyła się zacięta walka proletariatu.

W mieście, z którego północnych dzielnic tysiące ludzi co dzień wywożono do obozów śmierci; w mieście kazań Antystadta i Radogoszcza, przemianowanym na Litzmannstadt, od imienia pruskiego generała von Litzmann; w mieście, z którego wysiedlono polską inteligencję, nauczycieli, urzędników, inżynierów, lekarzy — siła oporu nie dała się zlawić rosnącym z dnia na dzień, najwymyślniejszym terrorem gestapo.

W maju 1942 roku powstały pierwsze oddziały Gwardii Ludowej. Zaczynano dosłownie z niczego: „Uczyliśmy się z podręczników niemieckich, z nich kopiowano tablice pistoletów, granatów. Ryśki robił Łisiak, jakkolwiek nie znał niemieckiego... Zaczęliśmy rozmyślać o akcji wykoślenia pociągów. Czegośmy nie wywarzali! Kłiny nie kłiny, tyżki nie tyżki, aż w końcu doszliśmy do przekonania, że jeśli wyprodukujemy tyżkę z kłinem i zaklinujemy tor, to pociąg się wykośli. Parowóz jadący od strony Pabianic uderzył w zaklinowany odcinek szyn, zaczął syczeć i potoczył się w wolnym tempie w stronę Kaliskiego. Kłiny były za słabe. Doszliśmy do wniosku, że jeśli poukładamy na torze pale możliwie jak najwyżej, pociąg musi się wykoślić. W tym przedsięwzięciu na moście przy szosie pabianickiej nakładliśmy bel na wysokość 1,5 metra. Maszynista już z daleka zauważył zbyt wielką przeszkodę i na pół metra przed piętrzącymi się balami zdolał zatrzymać pociąg. Dopiero rozkręcanie torów przyniosło oczekiwane rezultaty.”

Potem zaczęto myśleć nad tym, jak uzyskać materiały zapalne. „Doszliśmy do przekonania, że mieszanina chlorku, cukru i kwasu siarczanego może spowodować wybuch. Ta mieszanina napelniała się przerzutyw kupione w aptece, mniej więcej po trzech godzinach kwas siarczany przepalał gumkę, a przy połączeniu z powietrzem mieszanina wybuchła. Tym sposobem zostały spalone stogi na Zarzewiu, wieś na Stokach.”

Inny z gwardzistów wspomina o wdarc-

ciu się na teren fabryki „starych Francuzów”. „Gdyśmy znaleźli się w środku fabryki, pociliśmy wszystkie pasy i wylałymi wszystką oliwę. Robiliśmy to tak czujnie, że wartownicy nie nie zauważyli. W fabryce tej pracowaliśmy 20 lat i znałem tę „budę” jak własne dziecko palców. Buda stała przeszło dwa miesiące, zanim została uruchomiona. Nie spaliliśmy fabryki dlatego, że dowódca powiedział nam, żeby tego nie robić. Mogliśmy zniszczyć motory, ale chodziło o uratowanie warsztatu pracy. Fabrykę spalić jest łatwo. My zaś wszystko robiliśmy w tym celu, aby fabryka została dla nas”.

Główny nacisk kładła Partia na umiarkowanie akcji sabotażowej. Przy każdym zakładzie pracy zawiązywały się komitety sabotażowe. Na tzw. celarnie w Widzewskiej Manufakturze (ZPB im. I-go Maja) produkowano sztuczne włókno — wiskoze. Substancja wiskozy, do sławczy się do nieogrzewanych kotłów, blokowała je, a nawet bardzo często rozszalała. Takiego sabotażu na większą skalę dokonał młodzieżowiec, członek PPR-u, Maciejewski, który zginął na krótko przed wyzwoleniem Łodzi.

A oto inny przykład: wykwalifikowani tokarze, po powrocie z Belgii ze specjalnych kursów, nie przekazywali nikomu wiadomości otrzymanych na przeszkoleniu, dzięki czemu fabryka w ciągu ośmiu miesięcy, pracując na trzy zmiany po 130 osób w każdej, wyprodukowała osiem tysięcy zamków do broni szybkostrzelnej — nie do użytku. Straty wynosiły około trzech milionów marek.

Przykłady można mnożyć, poczynawszy od wynoszenia lub niszczenia surowców, półfabrykatów i gotowych produktów, poprzez psucie motorów, do podpalania magazynów i fabryk.

Szubeniec postawione przez Gestapo na podwórzu fabryki Kröninga nie tylko nie zastraszyły, ale wprost przeciwnie, spotęgowały czynną nienawiść robotników do hitlerizmu.

Tradycje SDKPiL i KPP, historia walk z caratem i sanacją uchroniły proletariacką Łódź od presji i wpływów burżuazyjnych organizacji podziemnych, które głosiły teorię o „dwóch wrogach”: rzekomo głównym — Kraju Rad i zezłanym przez oparzystość dla wymuszenia pierwszego — Niemiec Hitlera. Łódź wiedziała, że to przemawia skompromitowana doświadczeń na szosie zaleszczyckiej ideologia piśsudczyzny.

Wszelkie próby rozbicia zdumiewającej jedności łódzkiego proletariatu, który wszystkie swoje nadzieje pokładał w zwycięstwie Armii Radzieckiej, skazane były na niepowodzenie.

Operator Kroniki Filmowej, dokumentarzysta dni wyzwolenia Łodzi, kierujący obiektyw w stronę witalnych tłumów, utrwalał entuzjazm nie zasnuły nawet cieniem nieufności.

Na spotkanie czołgom radzieckim wyszło miasto, które nie tylko skutecznie walczyło z hitleryzmem, ale umiało wykreślić sobie drogę przyszłego rozwoju.

JERZY MILLER

Pamięci Zofii Nałkowskiej

EDWARD SZUSTER

NIEZAPOMNIANA LEKCJA

PROFESOR SPANNER — taki był tytuł pierwszego utworu Zofii Nałkowskiej, jaki przeczytałem po okupacji. Nie pamiętam dokładnie, gdzie i kiedy trafiłem na to opowiadanie; nie zapomnę na pewno przejmującego splotu uczuć wywołanych lekturą. We wstrząsającym skłębieniu myśli i wzruszeń, rozbudzonych chłodnymi zdaniem opowiadania, było i przeświadczenie o doskonałości skreślonego obrazu i jednocześnie zdumienie, niedowierzanie. Absolutnie nie mogłem pogodzić się z tym, że właśnie Zofii Nałkowskiej będę zawdzięczał ostateczne zrozumienie istoty hitlerowca; mniemałem, że znam dokładnie ten problem z własnych doświadczeń, a do autorki od dawna nie miałem zaufania.

Przypadek kierujący moimi młodzieńczymi lekturami sprawił, że gdzieś około 1937 roku sięgnąłem po „Romans Teresy Hennert”. Czytałem tę powieść z rosnącą irytacją; drażniła mnie miakkość i szarzyzna życia jej bohaterów, dziwił również język. Z odwróceniem ostatniej karty miałem już ugruntowany sąd o autorce — stwierdziłem, że pisze nudno. „Romans” powędrował do szuflady, a ja wróciłem do czerwonych tomów zbiorowego wydania dzieł Conrada. Nie czytałem już więcej Nałkowskiej, co najwyżej — od czasu do czasu — dziwiłem się temu, że „Romans” przeczytałam do końca, choć mi się tak wyraźnie nie podobał.

„Profesor Spanner”, poznany po dziesięciu prawie latach, przypomniał mi owe wrażenia i wprowadził w zakłopotanie. Nie mogłem zrozumieć, jakim to cudem spod pióra autorki „Romansu” mógł wyjść ów fascynujący prawdziwą siłą utworu. Szczegrze mówiąc, zakłopotanie owo trwało niedługo; rozterkę między starymi i nowymi sądami zlikwidowałem bez większych trudności. Stwierdziłem po prostu, że Nałkowska zrobiła w swoim piśmie wielki krok, który oddalił ją całkowicie od dawnego dorobku. Wniosek ten sprawił mi nawet satysfakcję, jako że był, jak mniemałem, szczególnie dydaktyczny, a jednocześnie uznawał pojawienie się nowego talentu w naszej literaturze.

Rozwiązawszy w ten sposób problem Nałkowskiej, nie wracałem do niego przez parę lat. W tym czasie uściśliły się nieco moje pojęcia o dydaktyce, wzbogaciła się wiedza o historii i literaturze — niemniej sąd o istnieniu dwu różnych Nałkowskich — jednej, autorki „Romansu” i drugiej, zupełnie innej, autorki „Medalionów” — tkwił we mnie wytrwale. Wreszcie w polowie 1954 roku spotkałem się ponownie — po latach siedemnastu — z „Romansem Teresy Hennert” za pośrednictwem tomu „Pism wybranych” jego autorki.

Tym razem czytałem tę powieść z rosnącym w miarę lektury zainteresowaniem, przeczytałem ją jednym tchem. Znalazłem w niej — przede wszystkim — pełen skupienia i myśli, oszczędny a wyrazisty język, który niefalszowanym spiżem dźwięczał mi w „Medalionach”. Ujrzałem następnie wypowiedzianą owym językiem wiedzę o ludziach, podobnie głęboką i trafną jak ta, która urzekła mnie podczas lektury „Profesora Spannera”. Odkryłem świetność piśmiennictwa jako rezultat konsekwentnego rozwoju, a nie fałszywego skoku, — spostrzegłem całą bzdurność koncepcji dwu różnych Nałkowskich, nic z tej koncepcji nie zostało.

Została natomiast pamiętna, jedna z najmocniejszych lekcji o istocie wielkiej sztuki pisania. Ze szczególną wyrazistością uświadomiłem sobie, czemu to przed siedemnastu laty przeczytałem do końca „Romans”, choć od pierwszych rozdziałów irytował mnie i drażnił. Miałem wówczas inne niż pisarka wyobrażenie o treści i barwie ukazywanego przez nią czasu — dlatego nie podobał mi się jego obraz w „Romanse”; tkwiłem wówczas w oszałamiających czarach conradowego języka — dlatego martwy i bez wyrazu wydał mi się język Nałkowskiej. A jednak doczytałem „Romans” do końca, nie mogłem odczytać go po prostu i zapomnieć. Zaintrygowała mnie wówczas i przykuła do

tej książki twarda i czysta pewność, z jaką autorka kreśliła swój obraz. Ta pewność mogła się zrodzić jedynie z głębokiego przeświadczenia o słuszności wypowiedzianych przez pisarkę sądów. Wabiące efekty języka i konceptu były tu zgola niepotrzebne, siłą prawdy wewnętrznej autorka chwyciła opornego nawet czytelnika.

Dzięki Zofii Nałkowskiej zrozumiałem ostatecznie i namacalnie, na czym polega trwałość i moc piśmiennictwa. Choć niejednokrotnie słyszałem, a nawet mówiłem sam, że prawdziwość widzenia życia i ludzi jest zasadniczym warunkiem dzieła literackiego — to jednak dopiero w zetknięciu z utworami Nałkowskiej prawdę tę przeżyłem tak wyraźnie, że stała się ona moją wewnętrzną własnością.

Od dawna już nic mnie nie ciągnęło do odnowienia znajomości z Conradem, do utworów autorki „Medalionów” będę wracał nie raz — wiem o tym. Będę się z nich uczył trudnej sztuki znajdowania najcelniejszego wyrazu dla myśli. Choć myśli nasze mają odmienny sens, inną barwę niż te, które zawarły się w dziełach Nałkowskiej, surowość wobec własnego słowa, baczny dobór właściwych znaczeń znajduje w Jej dziełach przykład szczególnie doskonały.

STANISŁAW PIĘTAK

PO WIELKIEJ STRACIE

WLATACH trzydziestych niewiele pisarzy cieszyło się pełnym zaufaniem nas, młodych i najmłodszych adeptów pióra. Do wyjątków należała przede wszystkim Zofia Nałkowska, jej bezspornie przypadł wówczas na wiele lat rząd dusz nad młodą polską literaturą.

Szukali u Nałkowskiej rady i wsparcia w nurtujących serca pasjach i wątpliwościach najrozmaitsi młodzi twórcy, formalisci i społecznikowcy, publicyści i poeci, prozatorzy i krytycy.

Dlaczego tak się działo? Myślę, że nie tylko olbrzymi urok osobisty pisarki budził to zaufanie, w grę wchodziły sprawy wielokrotnie głębsze, ludzie garnęli się do Nałkowskiej, bo czuli w niej przyjaznego człowieka, żarliwą ciekawość intelektualną i społeczną, świetnego znawcę sztuki pisarskiej, wreszcie twórcę, który stał ponad wszelkimi koteriami i drobnymi zawiściami ówczesnego życia literackiego.

Poznałem Nałkowską chyba w roku 1934, lecz niewiele mi zostało w pamięci z owych pierwszych lat znajomości, były to jedynie zetknięcia o charakterze towarzyskim, spotkania na sali odczytowej i w kawiarni, na przyjęciu prywatnym i w Związku Literatów. Zwyczajne pytania, zwyczajne odpowiedzi.

Zmianę przyniosła dopiero okupacja. W roku 1943, mieszkając w Warszawie, spotykałem Nałkowską znowu przy różnych okazjach, lecz najczęściej chybła w stołowe literackie na ulicy Foksal. I pani Zofia bywała tam pożywiająca się owsianką i mizernymi namiastkami gulaszu. Pamiętam szczególnie jedną chwilę. Nałkowska usiadła koło mnie na wspólnym krześle i, czekając na zupełnie, pytała mnie o przeróżne rzeczy, a przede wszystkim, czy nie tęsknię za wsią?

Nie odpowiedziałem zrazu, westchnąłem jedynie. Rozmowa stała się jakoś tak sama przez się liryczna, mówiliśmy o polach i drzewach, a potem naraz o koniach: ja — o jakiejś siwej szkapie, a pani Zofia o swym jedynym wierzchowcu, którego miała mieszkając kiedyś na prowincji.

Jakież to było urzekające opowiadanie — piękne, mądre a poetyckie. Do dziś żałuję, że nie zanotowałem wówczas słów pisarki, wrażenia, jakie wyniosłem z tej rozmowy, były równe przeżyciom, jakich doznawałem tylko po przeczytaniu najgłębszych strof czy najsłabszych proz.

Nałkowska była osobą wielkiego czaru osobistego. Przypominają się na-



Z Zofią Nałkowską nie zamieniłem nawet trzech słów, a przecież wiadomość o jej zgonie przeżyłem jak wieść o śmierci bliskiego człowieka, przyjaciele. Dlatego piszę te słowa, tu, na stronicę poświęconą osobistym wspomnieniom o Niej. Niechże obok przyjaciół i znajomych wielkiej pisarki wolno będzie wypowiedzieć się i temu, kto przyszedł do literatury już w Polsce Ludowej.

EDWARD SZUSTER

samprzód jej oczy błękitne, o niesłychanej i w ostatnich latach świeżości i czystości wejrzenia, oczy, w których rzadko zapalał się gniew, oczy piękne, dobre, pełne słodyczy i wyrozumiałości... Nie można zapomnieć i głosu pani Zofii: był to głos przedziwny, o niskim przydechowym brzmieniu, takim głosem ludzie wypowiadać zwykli swoje zwierzenia, swoją serdeczność i przyjaźń.

Tylko raz widziałem Nałkowską wytrąconą z równowagi, wzburzoną, pełną żalu i sarkazmu. Było to w Łodzi, bodaj w 1948 roku, w mieszkaniu pisarki. Jeden z moich kolegów napisał w owym czasie ostrą, wysoce niesprawiedliwą i nietaktowną recenzję o „Węzłach życia”.

— Nie mogę pojąć — mówiła pani Zofia — przychodził do mnie co dzień, męczył, dawał swe maszynopisy do czytania. Jakże tak można, to gorsze, niżby mnie obryzgało błotem.

Pisarstwo Nałkowskiej fascynowało mnie od początku. Pociągały — nowoczesność, krytycyzm tej prozy... Zresztą miałem szczęście, bo rozpoczynałem znajomość z jej twórczością od najlepszych kart, od „Romansu Teresy Hennert” i „Domu nad łakami”. Zdanie Nałkowskiej, przy pierwszym czytaniu na pozór chłodne, może rozpałi wyobraźnię i serce, jest pełne bowiem głębokiej mądrości, wielkiego przeżycia, zbliżone w wielu wypadkach do zdania poetyckiego. Muskulatura, czystość frazy nieporównana.

Nałkowska nie brała czytelnika obrazem, malowaniem zjawisk, lecz myślała o życiu. Do niektórych kart jej powieści mogę wracać po wielokroć, są takie partie w „Granicy” i w prozie pisarki z ostatnich lat jej życia.

Umarła w pełnym rozkwicie sił twórczych. Nie będzie już dalszych części „Węzłów życia”, nikt ich nie zdoła napisać, nie będzie dalszych, przeczytych w formie opowiadań wspomnieniowych. Zawsze wydawało mi się, że kogoś jak kogoś, ale panią Zofię czeka długowieczność — upoważniało do takiego mniemania wiele rzeczy: ciągła młodość ciała i umysłu, pasja życia, wspaniałe gietka i zdybywa siła tworzenia.

No cóż, stało się inaczej. Pocieszymy się jednak faktem, że Nałkowska nie postradała życia nie wypowiedziawszy siebie, dzieła, które pozostawia. Jest harmonijne i pełne i długo jeszcze będzie służyć przyszłym pokoleniom.

STANISŁAW PIĘTAK

HALINA M. DĄBROWOLSKA

WĘZŁY WSPOMNIENI

SMIERĆ Zofii Nałkowskiej zostawia nie tylko puste miejsce w życiu — uświadamia nam również, że z jej zgonem kończy się pewna epoka literatury polskiej.

Odeszła za wcześnie, pozostawiając niewykończoną książkę, przerywając jakby w pół zdania świetną rozmowę, którą umiała w tak mistrzowski sposób prowadzić.

Zadziwiała ją własna starość — nas zadziwiała jej śmierć, tak Zofia była żywotna i pogodna.

Kiedys mówiła do mnie: — „Cóż jest starość, ubóstwo wrażeń, ja jestem w pełni działania, zadań, pracy, — tyle ode mnie chcą, tyle się ze mną wyprawia — gdzie tu miejsce na pustkę!”.

Był śnieżny dzień, gdy o zmroku przyjechałam na Górki. Przywiozłam swoje dziecięce próby powieści. Sława już wówczas Zofia Nałkowska upoważniała mnie do tego. Błękitny mrok otaczał ukryty w sosnach dom, który zastałam pustą.

Dowiedziałam się, że panie zeszyły na ślizgawkę.

Poniżej ogrodu „Domu nad łakami” wylane wody bagien zamarzyły w sadzawkę. Już przy jaskrawym świetle księżycy, w pustce zimowej, zobaczyłam, jak krętymi liniami przesuwają się na lśniącej lodzie smukłe postacie Zofii i jej młodszej siostry Hani. Od tego pamiętnego dnia zostałam włączona do osób zaprzyjaźnionych z tym domem.

Pani Anna Nałkowska, matka pisarki, geografka, ujmująca tklivą dobrocią — tłumaczyła mi pochodzenie ziem na przykładach wykopalisk, którymi zarzucono był jej pokój do pracy.

Hania Nałkowska, obecnie znakomita rzeźbiarka, lepiła z gliny „Helenkę”, dziewczynkę wiejską znad łak. W pokoju Zofii zostałam najdłużej. Pisywała wówczas zielonym atramentem na długich paskach papieru przeciętego wzdłuż arkusza. Opracowywała właśnie „Dom nad łakami”.

Wówczas na Górkach, usłyszałam, jak ascetyczna była młodość córek uczonego geografa Wacława Nałkowskiego. Skromność została wybrana, i narzucona przez rodziców pisarki, jako protest przeciw krzywdom i nierównościom społecznym.

Przypominały mi się relacje z pogrzebu Wacława Nałkowskiego, z pogrzebu, który był manifestacją postępowej inteligencji, przeciwstawiającej się ciemności i uciśkowi. Klepsydry były bez krzyża, a rodzina postępowała za trumną, na której spoczywał wielki wieniec z samych cierni przepasany czerwoną wstęgą.

Zofia motywowała pragnienie piękna i wykwinu potrzebą odwetu za swoje surowe dzieciństwo.

Losy nasze łączyły się nadal, co pozwoliło mi być świadkiem iluż chwil życia autorki „Medalionów”, gdy ulegała przemianom wyrastając z samej siebie. Droga prowadziła wciąż wwyż, od młodocianych utworów, jak „Koteczka i białe tulipany”, „Rówieśnice”, aż do nowej fazy, jak „Romans Teresy Hennert”, „Choucas”, „Niedobra miłość”, „Sciany świata”, aż po „Niecierpliwych” i „Granice”, uważaną bezspornie za najlepszą jej powieść.

Od pierwszych utworów towarzyszyła jej sława. Zasużyła na nią rzetelnym wysiłkiem twórczym i skusnością idei, których broniła.

Czy to był salon, czy pokój — Nałkowska gromadziła w nim zawsze młode talenty. Środy literackie przed wojną i w czasie okupacji zastępować mogły najciekawsze sekcje twórcze naszych czasów. Nieraz obecni żalowali, że dialogi nie mogły być utrwalone na taśmie.

Jak wyraził się Breza — „uczęszczali na Nałkowską”, jakby na seminarium uniwersyteckie, prawie wszyscy dziś wybitni literaci.

Ze zgonem Nałkowskiej zniknęła nie tylko jedna z najwybitniejszych autorek polskich, ale i wspaniała osobowość. Czar osobisty, jaki wywierała, był chyba równy mądrości jej książek.

Na czym polegała jej moc, zdobywania sobie uznania i serc? Na mądrości, dobroci i zrozumieniu racji drugiego człowieka nawet wbrew sobie.

Zgodna umiała być z czasem, w którym istniała. Ulegała przemianom razem z historią nie kłamiąc sobie. Rozumnie administrowała wszystkim, czym los ją obdarzył. Znała jej kłeski osobiste, śmierć osób jej drogich. Umiała gorzko najcięższego cierpienia przerobić na materiał sztuki — nie dać się pokonać.

Nałkowskiej zarzucano brak bezpośredniości. Ceniła bardziej dyscyplinę intelektu, niż zdawkowość pseudoszczeroci.

Czuwała nad mechanizmem swych reakcji. Znaczący charakterów, zawsze umiała panować nad sytuacją.

Rzemiosło swoje doskonaliła z latami, zmieniała technikę. Notowała na małych kartkach bloczku i tylko ołówkiem. Najczęściej rano, jeszcze leżąc w łóżku. Rękopisy swe w tym stadium obrysowywała postaciami kobiecymi.

W czasie największego nasilenia pracy, gdy miała sekretarzy, oddawała kartki do przepisywania na maszynie. Zwrocone jej, już czytelne, ulegały niejednej przeróbce. Fragmenty swych powieści przekomponowywała często po kilka razy, czytając rękopis wielokrotnie.

Regułą jej pracy było — usuwać jak najwięcej zbędnych słów. Rzemiosło swe porównywała do rzeźby w drzewie.

Zeszłego roku Nałkowska zaprosiła mnie, żeby pokazać, ile materiału odrzuciła pisząc dwie na pozór objętościowo nieduże książki o wielkim ciężarze gatunkowym: były to „Węzły życia”. Teczek do nich z brulionami było kilkanaście. Wszystkie wersje uważała za cenne.

Rozmawiając ze mną o „Węzłach życia” użyła tych słów: „testamentowo masz o tym pamiętać, ile włożyłam pracy i ile książek mogłam napisać podczas tych lat”.

Nałkowska mieszkała w Łodzi, w domu literatów, od roku 1945 do 1949. Powstanie i miesiące popowstaniowe spędziła na wsi u swych przyjaciół Villamae-Cartów. Natychmiast, gdy tylko kraj został wyzwolony, zgłosili się tam Jerzy Borejsza i Jerzy Putrament, proponując jej wzięcie udziału w redakcji „Kuźnicy” w Łodzi.

Zofia i Hanna Nałkowskie znalazły się w naszym mieście. Swoją pobyt w Łodzi wspominała Zofia chętnie. Czuliła się tu dobrze w otoczeniu przyjaciół, w zaraniu organizowania nowych form życia i sztuki.

W Łodzi powstały też „Medaliony” — książka, w której osiągnęła najwyższy szczyt twórczości.

Dane mi było być z Zofią w Krakowie i Oświęcimiu, należeć do Komisji Badań zbrodni hitlerowskich, spędzać wiele dni przy wstrząsających zeznaniach ofiar kaźni. Dziwiłam się nieraz, gdyśmy wracały z tego piekła, że Zofia może nadal trwać w afirmacji życia.

A ona właśnie w „Medalionach” osiągnęła najwyższą skalę swego wyrazu: oszczędności i pozorności chłodu. Dała dowód, jak przetwarzać umiała na język sztuki najgłębszy protest przeciwko wojnie i zagładzie ludzkości.

Ogromna systematyczność kazała Nałkowskiej gromadzić archiwum prac skończonych, bieżących niewydaných rękopisów i zeszytów z aforyzmami. Najważniejsze jednak są pamiętniki prowadzone od młodości. Stanowią one będą bezcenne dokumenty dotyczące twórczości i życia wielkiej pisarki.

Ostatnie lata Zofii Nałkowskiej wypełniały więcej niż twórczość obowiązki społeczne. Oddawała im się całkowicie, nieraz ze szkodą dla literatury.

W uznaniu jej zasług w dniu 22 lipca 1953 r. wręczono Nałkowskiej Nagrodę Państwową.

Na wzruszającej uroczystości 50-lecia pracy pisarskiej otrzymała wysokie odznaczenie.

Wszyscy, którzyśmy w tym akcie uczestniczyli, chcieliśmy jej dać dowód, jak jest nam bliska i droga nie tylko przez swoje dzieła, ale i przez swoje wartości ludzkie i wdzięki osobiste.

HALINA M. DĄBROWOLSKA

ŁÓDŹ LITERACKA

3

WIEZIENIE piotrkowskie znajduje się w środku miasta sąsiadując blisko z pięcioma kościołami. Latem, kiedy okna cel są otwarte, słyszeć nie tylko muzykę organów i chórne pieśni, ale także ciche, tym bardziej przejmujący głos dzwonka zwiastującego podniesienie. Są takie cele, korytarze i kłozety w więzieniu, z których udaje się niekiedy zerknąć na zewnątrz. Spoglądając się wtedy, w zależności od tego, w którą stronę się patrzy, pustą ulicę Rycerską, po której spaceruje bez pośpiechu strażnik, znudzony stanem w budce przylepionej do przeciwnego muru i obserwowaniem własnego cienia na chodniku. Czasem tamtędy przemknie dewotka spuściwszy wzrok, unikając okrytych bielmem okien więzienia. Do piersi tuli modlitewnik, czarna jej postać wsiąka w cieniasty chłód kruchty kościelnej Panien. Fronton więzienia patrzy na masywny, barokowy profil Dominikanów ozdobiony połyskującym w słońcu krzyżem. Stąd często procesje wychodzą na ulicę, ich echo bije w sufity cel, przepływa przez nie, jakby szły tędy parafialne dziewczę w białej szmuce, bogato haftowane chorągwie, sygnę na ziemię różnobarwną, wonną chmurę płatków kwiatowych, patrząc oczyma pogodnymi w niebiosa.

Kościół Bernardyński daje znać, która godzina, zegar na wieży noc i dzień wydzwaniania kwadrans. Niemal zawsze głowy więźniów podnoszą się wtedy, żeby z większą uwagą wysłuchać, ile upłynęło czasu. Jeżeli pochłonięci rozmową przegapią w ciągu dnia jedno bicie zegara, u najczystszych cyników, ukrywających wszelkie ludzkie uczucia, wywołuje to przynajmniej uśmiech. Jakby pytali, czy to możliwe, że jakiś przypadek skrócił o piętnaście minut ich czas pobytu za murami.

Kościół nieco dalsze, Fara i Pijarów, odzwają się dzwonami.

Od rana, kiedy wierni powinni śpieszyć na pierwszą mszę, w ciszy prowincjonalnego miasta dudnią i huczą, milną niemal zupełnie roztopione w czystym powietrzu, to znowu wzmagają się do tonów najwyższych rozhuśtane dzwony. Więźniowie budzą się w ich akordach, słyszą je w dzień, zasypiają kołysani dźwiękami, które już dawno uciły. Dzwon pogrzebowy ustępuje miejsca weselnemu, poranny niespornemu, dzień ustępuje nocy, powietrze płynące przez ciasne okna więzienia zdaje się być przesiąknięte wonią kadzidła, błogosławione sprawiedliwą dłońią kapłana.

Łukasz, po przebraniu w odzież więzienną i ogoleniu głowy, został wpuszczony do zatłoczonej „prześciółki”. Stał od kilku minut na progu przypatrując się kracie. Była wysoka, nie narzucała się oczom i to sprawiała ulgę. Za kratą nie widać nic. Tylko słyszeć modlitewne, rozwleczone, kościelne echem pomnożone psalmy. Nabrał nadziei, że tu mu będzie jakoś łatwiej żyć i oddychać, niż w celach, przez które dotychczas przeszedł. Pierwsza noc w „kozie” przy wiejskim areszcie, gdzie w powietrzu wisiał kwaśny, gnojny fetor niemytych ciał i machorki, pozostawiła mu mętne wspomnienie Cygana odziewającego swoje ciemne ciało starą portierą w kolorze bordo, wyżebraną u służącej przodownika.

Wieczorem, korzystając z powstałego we wsi zamętu, Cygan-koniokrad spróbował ucieczki w pole przez drewniany wiejski ustęp, do którego jak zwykle wyprowadził go policjant, sam pozostając na podwórzu. Przyłapano zuchwałca, zbito na kwaśne jabłko, wytaplano w gnojówce za ustępem i cuchnącego wrzucono z powrotem do „kozy”.

Cygan zdziwił się, do sucha wytarł się kocem, po czym uśmiechnięty przywołał do okna pucholową służącą przodownika. Trzymając oburącz kratę, stał w księżycowej poświacie nagi, brunatny, z połyskującą skórą napiętą na pięknych muskułach. Oczy jego i zęby lśniły śnieżną białością, wabiły słodkim, cygańskim uśmiechem. Dziewczyna spojrzała z dala, zatrzymała się. Po chwili, jakby zahypnotyzowana jego magnetycznym wzrokiem, przysła pod okno, żądając tylko, żeby się cokolwiek ostonił. On usłuchał natychmiast, okrył podbrzusze różkiem koca i śmiał się do niej przegarniając włosy czarne, zwite jak karakuly. Przy każdym poruszeniu migotał w blasku księżycy złoty kolczyk wiszący w jego lewym uchu. Cygan mówił śpiewną, smutną mową, wychwalał uprzejmość i urodę dziewczyny, szeptał cicho, jakby wabił gołębia, to niskim, to wysokim głosem. Ona słuchała śmiejąc się i niby to nie wierząc. Ale na koniec, gdy księżyc zatonął w ciemności, wyniosła ze strychu połówkę starej zełzałej portieri ozdobionej frendlami. Cygan wykazał poczucie humoru, a nawet sporo zdolności aktorskich, drapiąc się w purpurową togę, parując w niej i śpiewając dla zagapionej w niego dziewczyny sentymentalną, płomienną serenadę. Przedzieleni kratą, długo rozmawiali ze sobą w półmroku. Słysząc było szepty, krótkie okrzyki protestów, chichoty. Kiedy się wreszcie rozeszli, lewe ucho Cygana nie dźwigało już złotego kółka, zwiślało żałośnie rozciągnięte i duże, ozdobione tylko czerwonym otworem. Dziewczyna przyjęła kol-

czyk razem z cuchnącymi łachami, które zgodziła się do rana wyprać. Ale Cyganowi zapewne było żal złota, spodziewał się widocznie, że zgodzi się ona wykonać pracę za same tylko słodkie słowa i pochwały.

Zasiadł teraz na swojej przycy, zapalił papierosa i wpatrując się w cieką, błękitną smugę dymu zaczął się śmiać zupełnie inaczej niż przed chwilą.

Kopcząca lampka naftowa napełniała powietrze kwaśnym zapachem spalin, a światła dawała bardzo niewiele. Tylko twarz Cygana widać było dokładnie, wetkniętą w mały krążek blasku. Jego kształt, cienki nos naprężony się tworząc ostry garbek, usta kątami wygięły się w dół. Purpurowa toga spadała na ziemię. Po suficie peł-

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

PROSTA DROGA ŁUKASZA

zał ogromny, czarny cień, załamujący się przy każdym ruchu.

— Kobito — mówił Cygan, drapiąc się po nogach — wy wiecie co to znaczy kobita? Ha! To ja wam mogę powiedzieć.

Roześmiał się, puścił nosem smugę dymu, po czym zaczął opowiadać kolejno i ze szczegółami wszystkie swoje przygody miłosne, z wyjątkową brutalnością nazywając rzeczy po imieniu, wymawiając ohydne wyrazy ze swobodą obcokrajowca, nie znającego pełnej treści słów. W tej relacji każda kobieta była szmatą, godną bata i splunienia. Dla Łukasza kobieta, to była Kasia Surmacz. Odraza targnęła nim do głębi, kiedy lażył mu w uszy kleiste, grzaskie, śmiechem aresztantów przyprowadzone opowiadki Cygana. Łukasz nie był niewiniątkiem, obserwował ciekawie wszelkie objawy życia, znał procesy rozmnażania się zwierząt i ludzi. Chciał jednak doznać ich sam, przekonać się, że mają smak dojrziałych jabłek i zapach łąki, nie zaś odór kłozetowy, jaki wydawało wytaplane w gnojówce ciało Cygana. Zapomniał chyba, gdzie jest, bo podniósł się i krzyknął:

—Przestaliście, Cyganie! Spać nie można. Do diabła z waszymi babami.

Cygan wybuchnął chichotem.

— A wyjdź — wołał — jak ci źle! Wyjdź! Dlaczego nie wychodzisz? Dalej, jazda!

Wtedy Łukasz natknął się wzrokiem na kratę w oknie i po raz pierwszy odczuł to wewnętrzne zimno, które go później przejmowało wstrząsem przerażenia, ilekroć sobie uświadamiał, że stąd nie można wyjść, kiedy się chce.

Cela, do której wprowadzono Łukasza w piotrkowskim areszcie policyjnym, była zupełnie mała. Tym większe wydało się okno rozwarte na całą szerokość, niskie, przecięte żelaznymi sztabami. Tam zaczął się wzrok, skupiła się cała uwaga i ludzka woła swobody i rozpaczliwy, dziki, zwierzęcy buł przeciwko przemocy. Łukasz nie mógł patrzeć gdzie indziej. Po podwórzu przesuwały się ludzie, jedni drugich prowadzili, jedni drugich pilnowali, do jego świadomości jednak wszystko to docierało nader słabo. Widział

śku. Zasnął. Obudził go ryk. Potworne wycie człowieka jakby walczącego resztkami sił w obronie życia. Łukasz się zerwał. Skoczył naprzód. Nocną szarość za oknem przecinało krzyżowanie kraty. Drząc przysunął się do drzwi. Duży, czworokątny judasz był otwarty. W sionce pło-nęła żarówka otoczona kapturkiem z drucianej siatki. Na wprost, na długość wyciągniętego ramienia, drzwi sąsiedniej celi. Tam, w ramach otwartego judasza ludzka twarz koloru świeżo wyjętej wątroby, nabrzmiała, połyskliwa, rozdarta krzykiem. Łukasz patrzył. Przeraża go tamten człowiek. Co mu się stało? Jest tak blisko, że można by podać rękę. Krzyk. I znowu długi, straszliwy krzyk. Po drzwiach z podwórza grzechoczą związane w pęk klucze, zaspany głos

dyżurnego policjanta mamrocze zupełnie bez gniewu, jakby to mówił gospodarz do ryczącej krowy:

— Zamknij twarz, ty pijaku. Wyśpisz się do rana, to sobie pójdziesz.

I twarz w judaszu zamyka się istotnie, znika. Pijak zaczyna teraz regularnie bombardować drzwi kopniakami, które w ciszy śpiącego miasta wydają się głośnie, jak huk trzęsienia ziemi. Łukasz uklada się ponownie, naciąga kapotę. Łomot wzrasta. Trzeba tego słuchać. Trzeba spokojnie i do końca domyślić w sobie tę rzecz, że teraz, odkąd pozbawiono go wolności, ktoś inny, mądrzejszy, twardy i mocny, jak kraty w oknie, będzie decydował, wśród jakich ludzi wypadnie mu żyć.

Toteż gdy znalazłszy się w więzieniu, stanął przy drzwiach „prześciółki” tak ciemnej jakby tu weale nie było okna, Łukasz doznał ulgi. Widmo kraty, dokuczliwe w areszcie policyjnym, jakoś przestaje teraz nękać. Ludzie tu są, widać, zajęci sami sobą. Słabe zarysy postaci mającej pod ścianami i przy stole. Łukasz przestępuje z nogi na nogę, trzymając oburącz zawinięty w matczyną kropkowaną chusteczkę prowiant, jaki rano w dniu wyjazdu dostał na drogę: mały, trochę już obeszniety i z jednej strony nadłamanym głonek czarnego chleba i trzy kartoflane placki.

Ogolone głowy więźniów raz tylko zwróciły się w jego stronę, kiedy wszedł. Potem potraktowano go jakby był powietrzem. On przyjął to z zadowoleniem. Stał i patrzył spod oka. Wszyscy wydali mu się podobni. Sinawy, nierówny kolor ich gołych pał przypominał oskrobanego z łuski szczupaka. Siedzieli przyglądając się czterem grającym w karty.

Łukasz, jak wszyscy wiejscy ludzie, miał nieprzebrany zapas cierpliwości. Rozumiał, tę wiedzę osiągnął już w piotrkowskim areszcie, że trzeba się poddać woli tych, którzy przybyli do celi przed nim. Ustawił się więc tak, żeby nie odczuwać bólu w chorej nodze i postanowił ani kroku nie zrobić ode drzwi, dopóki go nie zaproszą. Na ławach było jeszcze sporo miejsca, nie zdobył

kitnymi oczyma. W kilka dni później Łukasz dowiedział się, że człowiek ten został skazany na piętnaście lat za zamordowanie żony. Teraz, oparłszy brodę na pięściach, nucił nieprzerwanie ciągle te same słowa:

— Na odpuszcę w Sandomierzu, na odpuszcę w Sandomierzu, na odpuszcę w Sandomierzu, w Sandomierzu na odpuszcę, na odpuszcę w Sandomierzu...

W kącie celi siedział nagi starzec przed rozłożoną na podłodze koszulą; przesuwając ją w palcach przed zmrużonymi oczyma, cierpliwie badał, aż natrafiwszy na wszy trzaskał paznokciami.

— Bracie — gadał nie patrząc na nikogo i nie zważając na to, że najbliższy sąsiad śpi już z otwartymi ustami — u nas na Świętym Krzyżu, bracie, inne mamy porządki. Więzienie, jakich mało. Żeby mnie już prędzej odstawili z powrotem. Po co trzymają? Sprawa skończona, zeznania złożyłem. U nas, bracie, tej zwierzyny ze świecą nie znajdziesz. Ani mowy. Czystość, łaźnie, podłogi błyszczą jak lustra. Na dziedzińcu także samo, trawka, ścieżki wygracowane, klomby, na środku wielkich rozmiarów orzeł polski z tłuczonego szkła... Tak, tak... Aż miło wyjść na spacer. Sarenka sobie chodzi, bez wyroku więzienną powinność odbywa. Tam tego nie ma, żeby ci co chwila ktoś z ulicy wlaży, wszy naziósł. Skąd? Same duże wyroki. Piętnaście lat albo dożywocie... Prawde ci powiem, bracie, żal mi było wyjeżdżać. Na diabła mnie tu wezwali! „Święty Krzyż — więzienie ciężkie”. Tak! napis mamy nad bramą. Jak mnie tu transportowali, daleko, daleko już byłem w puszczy, pod samymi Kielcami, a jeszcze słyszałem dzwonięcie kajdani. Bo więzienie się buduje. Rosną mury. Kto pracuje przy budowie, na rękach i nogach nosi kajdany. Dzwonią, dzwonią, las nie się...

— To ci z tej dobroci tak morda żółkła, stary trupie? — zapytał olbrzym nie odwracając oczu od kart — cytyna i ty, jeden kolor.

Starzec odłożył koszulę, podniósł twarz obrzękłą, bezkrwistą, z której mury wyciągnęły całkiem barwę życia. Szpareczki oczu nie rozszerzyły się między wałkami zepuchniętych powiek. Wyprostował drżący, żółty palec i mówił znowu do nikogo:

— Niedoczekanie! Niedoczekanie małym wyrokiem dostać się do nas na Święty Krzyż! Błękitnooki mężczyzna zaśpiewał nieco głośniejsze:

— W Sandomierzu na odpuszcę była baba w moim guście...

Łukasz obserwował od samego początku dostojne zachowanie się więźnia o wyglądzie świątobliwym. Ogolone przy samej skórze włosy zdążyły już odrosnąć, były śnieżno-białe i sterczały tworząc świetlistą aureolę wokół głowy. Każdy ruch, najmniejszy gest w wykonaniu tego mężczyzny stawał się celebrowaniem. Oczy patrzyły ku górze, co Łukaszowi przypominało fizjonomię świętego Antoniego z obrazu nad łóżkiem rodziców. Któż więc, jak nie ten pełen dostojęstwa więzień, mógł obudzić w Łukaszu zaufanie? Po wieczornym apelu, kiedy rozesłano na podłozie chudziutki sienniki wzniesając chmury cuchnącego zbutwiałą słomą kurzu, ten właśnie człowiek w aureoli dotknął ramienia Łukasza.

— Wpisowe jest? — zapytał krótko.

Łukasz otworzył oczy bardzo szeroko. Na jego piegawatej, szarej twarzy odmalował się wyraz głupkowatego zdziwienia.

— No, prowiant albo tytoń... — mówił niecierpliwym tonem apostoła wskazując kropkowaną chusteczkę — żeby się wkupiło do kompanii.

Łukasz ukląkł, pośpiesznie rozsypał węży chusteczki, rozłożył ją na podłodze u stóp wyprostowanego więźnia, potem spojrział w górę. Tamten odsunął nogą zawiniątko pytając jeszcze:

— Z jakiej wsi?

— Z Jąłowców — szepnął cicho Łukasz.

— Ale to musi być zadupie! — odezwał się siwowłosy do reszty więźniów — ani tego tam nie rozumieją, że trzeba coś chłopakowi dać na drogę życia.

Młody więzień przestał śpiewać o Sandomierzu. Patrzył na Łukasza uśmiechając się drwiąco i zanucił:

— Oj, mam, mam, powiem przed Bogiem, żeście mi nie dali chleba z twarogiem.

Łukasz uczył ostry ból na wspomnienie Józefki, która tak niezwykle dawno, choć dopiero kilka dni temu, przed posterunkiem w Pioturce podała mu zawiniątko. „Trochę chleba, synu. Pożyczylam” — powiedziała wtedy bardzo cicho. Teraz ogarnęła go nienawist do młodego mężczyzny. Rozejrzał się. Wszystkie sienniki, rozłożone dwoma rzędami, były już zajęte. Nikt nie zwracał uwagi na przybysza. Łukasz bez słowa położył się na wąskim pasku gołej podłogi między ostatnim siennikiem a śmierdzącym kibelem. Odwrócony tyłem do więźniów, czuł przy każdym oddechu odór moczu. Starzec o zżółtych oczach mruczał układając się tuż obok do snu:

(Dokończenie na str. 5)



Rys. T. Kokietek

kratę. Czuł ból w oczach, gdy się wzrokiem na nią natykał. Odwracał głowę, ale już po chwili musiał patrzeć znowu. Kiedy siedział na brzegu drewnianej nary, przymocowanej do trzech ścian, wypełniającej niemal całą izbę, wystarczyć posunąć się naprzód i wyciągnąć rękę, żeby chwycić białą malowaną, po miejsku porządną kratę. Nie czynił tego. Mimo to czuł, że dotyka jej czymś ukrytym w głowie, czy w oczach może, jakimś nigdy nie nazwanym zmysłem ludzkim, który pogwałcono, zamykając go jak królika. Klóciły się w nim sprzeczne uczucia, rósł niepokój, ból, rozdrażnienie.

Wieczorem zwała go z nóg sennać. Padł na nare, zatulił się kapotą, jak dawniej na pastwi-

się jednak na odwagę, żeby usiąść. Obserwował.

Na wprost niego siedział olbrzym w rozdartej do pępka koszuli. Zaglądając w karty sąsiada i wskazując mu niekiedy palcem, w co należy wyjść, drugą ręką gmerał w czarnym zaroście na piersiach. Skóra jego od szyi do pasa była pokryta wytatuowanymi scenami, które, choć przesłonięte bujnymi skudłonymi włosami, przykuły wzrok Łukasza. Czasem olbrzym odsuwał dłoń gracza, niosąc już do góry kartę, łagodnie ale stanowczo brał kartę inną i z krótkim trzaskiem rzucał ją na stół. Potem wracał do drapania się po głębokim dekolcie.

Tuż obok niego wspierał się łokciami na stole mężczyzna bardzo młody, z jasnym czołem, z błę-

GAŁĄŻ

CHŁOPIEC otworzył oczy. Była noc. Usłyszał głośnie oddechy i jęk. Było ciemno. „Ciocia“ nie zamykała na noc szafy, choć „wujek“ na nią krzyczał i kazał szafę zawsze zamykać. Na dworze był wiatr. Biegał po dachu i dokoła domu, zdyszany wykań swój spiczasty pysk we wszystkie kąty. Chłopiec podniósł głowę i patrzył przez niedomknięte drzwi. Na łóżku pod ścianą szamotał się wielki kłab. Gdzieś zawarczał motor. Przez okno wpadł prostokąt światła, przesunął się po ścianie i znikł. Chłopiec zobaczył w tym świetle dwie wielkie, białe nogi podniesione do góry, bez czarnych bucików i pończoch, nieruchome jak dziwne zwierzęta. W ciemności rozległ się śmiech i szloch, a potem klaskanie. Wujek znów bił się z ciocią na łóżku.

Chłopiec schował się pod koc, zrobił sobie nad głową budkę i podwinął nogi. Łzy spływały mu na usta, ciepłe i słone.

Ciocia była dla niego lepsza; kiedy raz przyszła z miasta, kazała mu wyjść z szafy i dała mu ciastko, gwiazdkę posypaną cukrem, z dziurką w środku. Potem długo miał w kieszonce słodkie okruchy, wydłubywał je i próbował językiem.

Zrobiło mu się duszno i wysunął głowę. Słyszał teraz chrapanie i cieniutki świst, jakby mały ptaszek świstał w samym środku ciemności, która nie ma twarzy i jest wszędzie. Wiatr chodził po dachu i stukał w dachówki.

Teraz znów usłyszał uderzenie w okno, szyby zadzwoniły. To pewnie mama przyszła — pomyślał — i stoi tam za oknem; jakby mama przyszła, to by ją pocałował i zaraz poprosił, żeby go wyczesala.

Kiedyś złapał wesz, która wylazła z głowy i chodziła po uchu; była taka jak ziarno, duża i miękka jak niedojrzałe ziarno pszenicy. Skóra na głowie bardzo go paliła. Kiedy znów usłyszał uderzenie w okno, otworzył szafę. W pokoju było ciemno. Za oknem coś się poruszało. Wysunął nogę z szafy i palcami dotknął podłogi. Rozległo się nagłe chrapanie i chłopiec zamknął powoli szafę. Owinał się w koc i nie oddychał. Zdawało mu się, że szafa skrzypi i piszczy przeraźliwie. Słyszał monotonne stukanie, coraz cichsze, i cichsze, wreszcie uderzenia zamieniły się w szum i szelest, jakby ktoś sypał po szybach piaskiem.

Obudził się, kiedy w domu nie było nikogo. Ostrożnie rozchylił drzwi szafy i wyszedł. Przysiadł na krześle na środku pokoju. Nogi miał sztywne i kruche jak słoma, załamywał się w kolanach. Wujek mu powiedział, że go

zabije, jak będzie wychodził z szafy. Na kuchni stał złoty moździerz. Świecił jak gwiazda. Coś poruszyło się za oknem. Usłyszał szelest, na ścianie kołysał się cień; teraz ktoś stukał w szafę. Chłopiec umknął do szafy.

W szafie było cicho i ciemno jak w torbie. Przez okno nigdy nie wyglądał, nawet kiedy był sam, odwracał się do okna plecami. Wiedział, że nie można. Mamusia mówiła mu, że przez okno nie wolno wyglądać, i płakała. Powiedział, że nie będzie. Wujek mówił, że jak będzie wyglądał przez okno, to go Niemcy zastrzelą. Niemcy byli w wielkich czarnych butach i wszyscy się ich bali. Mieli czerwone twarze i strzelali złotymi kulkami. Niemcy nosili te kulki w zębach i gdy krzyczeli, to było wiadać, jak się świeca. Raz przyszedł Niemiec do wujka i strzelał w sufit z takich kulek jak ogień. Ale już nie mógł sobie przypomnieć. To było tak samo jak ze słońcem. Zamykał oczy, żeby zobaczyć słońce, przyciskał palcami powieki i wtedy w ciemności rysowało się białe kółeczko bez promieni; to kółeczko nie było podobne do słońca na niebie i było zimne.

Włożył rączkę do kieszeni. Miał tam kilka kamyków, którymi się bawił. Były okrągłe i ostre. Znał wszystkie kamyki i ich kolory. Ten najmniejszy, okrągły, był różowy, ten trójkątny i ostry był niebieski jak kwiatek. Inne były szare i żółte. A jeden był biały i podobny do małego jajeczka. Kiedy uderza się kamykiem w kamyk, przyska mała czerwona iskra, która pach-

nie deszczem. Te kamyki zbierał po drodze, kiedy go mamusia prowadziła do wujka, do szafy. Robił sobie z nich grzechotkę i cichutko grzechotał przy uchu; czasem rozmawiał z kamykami i brał je do ust.

Usłyszał krzyki, które dochodziły go z ulicy, i znów brzęk szyb, stukanie i szelest, jakby ktoś szamotał się za oknem. To mamusia — pomyślał — stała całą noc pod oknem, a teraz stuka i czeka na niego. Otworzył szafę i pobiegł na palcach do okna.

Naprzeciwno, pod czerwoną ścianą, chłopcy grali w guziki. W okno uderzyła gałąź. Mokre listki przylepiały się do szyby i odlatywały za uchodzącą gałęzią, wiatr tchnął w drzewa i coś szeptał. Jeden chłopiec klęczał nad kałużą i puszczał na wodę biały okręciak.

Na niebie nie było słońca. Chłopiec, który puszczał okręciak, podniósł twarz do góry: nagle złapał okręciak i odbiegł do okna. Przykleił twarz do szyby; miał rozplaszczony nos i dwie wielkie dziurki w nosie. Chłopiec z szafy stał przy oknie, nie mógł się ruszyć, nogi miał takie lekkie, że ich nie czuł, i takie ciężkie jak dom. Chłopiec z okręciakiem miał oczy nieruchome z żółtego szkła. Nagle zamrugnął i coś krzyknął. Gromada chłopców spod czerwonej ściany podbiegła do okna. Wspinali się na palce i przyklejali twarze do szyby. Ten, który stał za wszystkimi, podobny do tyczki, pokazał szeroki język, a potem wrzasnął: — Zyd!

Chłopcy zaczęli podskakiwać i wołali:

— Zyd, Zydek, Zydek... — a potem znów przylepiali do szyby czoła, wargi, nosy, oczy i języki jak szerokie, różowe łopatkę. Chłopiec podobny do tyczki podniósł kamień i cisnął w okno. Pan, który stał na rogu ulicy i czytał gazetę, podniósł głowę, a potem zaczął wymachiwać laską. Chłopcy rozprysnęli się na wszystkie strony, wołając:

— Zyd, Zydek, Zydek...

Chłopiec odwrócił się powoli od okna. Pod stołem leżał szary, duży kamień. Chłopiec spojrzął na kamień i powiedział:

— Co ja zrobiłem...

Powtórzył te słowa kilka razy, a potem uciekł do szafy i owinał głowę kocem.

TADEUSZ RÓZEWICZ

Z przygotowanego do druku tomu opowiadań „Opadły liście z drzew“.



Rys. K. Wegner

PROSTA DROGA ŁUKASZA

(Dokończenie ze str. 4)

— Na Świętym Krzyżu takie porządki? Skądże? Każdy ma tam swoje miejsce...

Kiedy wreszcie żarówka pod sufitem zgasła, Łukasz otwartymi oczyma wpatrzył się w ciemność. Po raz pierwszy od chwili aresztowania nawiedził go wyrazisty obraz rodzinnej wsi. Jakby go dzieliła przepaść ogromna od tamtych znajomych miejsc, od spraw prostych i bliskich. Snuły mu się po głowie wspomnienia i obrazy, wiodł długie rozmowy z rodziną, to znowu z kruczową Kasią Surmacz. Aż owładnął nim smutek zupełny i pewność zagubienia się w tym świecie, którego progi przekroczył tak niedawno. I nagle wyrosło przed oczyma zdarzenie, zatarło już całkiem w pamięci. Franek Rokseła, stojący kiedyś na szkolnym podwórzu, gwizdnął na Łukasza pasącego krowy. Łukasz przyszedł. Włożył na pochyły daszek schodów piwnicznych sięgających pod wysokie okno. Zajrzał. Po ścianach, po ławkach, po piecu śmigało coś żywego. Ruda plama przelatowała skokami, tak że trudno ją było dojrzeć. Okno przesłaniały głowy pastuchów, którzy zbiegli się tu wcześniej. Kucali na krzywym daszku w niewygodnych pozach utrzymując równowagę bosymi stopami przylepionymi mocno do śliskiej pappy, niekiedy podpierając się rozczapierzonymi palcami. Łukasz docisnął się bliżej. Usłyszał głuchy stuk. To wiewiórka śmignęła na gołą ścianę i stoczyła się w dół. Nauczyciel złapał ją poprzedniego dnia na polowaniu. Przywiózł z dalekich lasów do piotuskiej szkoły, może na lekcję przyrody, może swoim dzieciom na uciechę. Zamknął w pustej klasie, żeby się trochę oswoi-

ła z nowym otoczeniem. Ale zwierzątko nie przestawało się miotać szukając drogi na wolność. Pazurkami skrzybotało po szybach, mały łebek z rozpędu bił w ściany, płomiennie ruda kłota fruwała z miejsca na miejsce. Po szalonych skokach następował stukot, stworzenie waliło się w dół, by znowu skoczyć do góry, jakby było pewne, że musi znaleźć wyjście. Danielów nie było tego dnia w domu, na drzwiach wisiała duża kłódka. Każdy odgłos na drodze witano z nadzieją. Może wróci. Wypuszczą do lasu. Wiewiórka wydawała się godna pomocy na równi z człowiekiem, a może nawet bardziej niż człowiek przez swoją bezradność, odwagę, desperacką siłę i rozpaczliwą wolę życia. Łukasz pamięta, co czuł tego dnia. Stał odrętwiały za oknem i patrzył, a każdy upadek drobnego ciała potęgował w nim ból i tepe, bezradne przygnębienie.

Teraz, leżąc na podłodze celi, patrząc otwartymi oczyma w ciemność, doznał złudzenia, jakby ożyło w nim tamto stworzenie, małe i dzikie, przeniesione ze swobody w pułapkę bez wyjścia, tłukące głową po ławkach i ścianach. Słupy, zwierzęcy, dziki lęk, jakiego niegdyś był obserwatorem, teraz zrodził się w nim samym. Usłyszał wyraźnie, tak jak wtedy, stukot spadającej po raz ostatni wiewiórki. Zabolowało coś w piersi na myśl, że z nim się tu nie inaczej los obejdzie, z dala od swoich, z murami.

(Fragment powieści, która ukaże się wkrótce nakładem PIW'u)

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Dojrzałość

Ja nie lękałem się doświadczeń,
Dźwigałem je od lat,
Latami trudnych walk się świadcę,
Zwycięstw i gorzkich zdrań.

Wszystko, co dzisiaj mam, jest moje —
Zdobylem prawo dziś
Na wiarę i na niepokoję,
I na swobodną myśl.

I mam powody do radości —
Toteż mój skąpy wiersz
Zyje namiętniej, tętni prościej,
Wtórując biciu serc.

Chwila

Ciepły wiatr od gór zawiewa
Na tarasy, na ogrody
I zaczyna nas ulewa
Gwiazd, obłoków i pogody.

Promień światła ostrym blaskiem
Nas w przelocie nie ominął,
Z nieba upadł gwiazdy jaskier —
Mój to los, czy twój odpłynął?

Gałąz strzępy nieba ścina
I zanurza w blask strumienia,
Spójrz, nad nami jest godzina
Zapomnienia i milczenia.

Nie trwój jej w tej dziwnej porze,
Jeśli przyszła niespodzianie —
Może umrze, ale może
Wierna sercu pozostanie.

ANNA POGONOWSKA

Młodość okupacyjna

(Fragment poematu)

Odechodził wąską ścieżką. Maliny zgaszone
Dawno były. Listopad rozpajęczał błonę.
Pośród zubieniec sadu, wśród szkieletów drzew
Odechodził cień ruchomy żerany przez zmierzchn.
Ach! ja go poganiałam oczami z za szyb
W noc grząską, by go z nocą nie różniło nic,
Daliśmy ci wytarty pieniądz, zimne lzy,
Słyszysz, Niemcy za ścianą... Słyszysz, Mošku — idź!

Był u nas ze dwa lata. Z leju piekielnego
Uciekł, z otchłani getta, Zydek z warszawskiego
Przedmieścia, chłopiec lśniący, egzotyczny, suchy
Żał sieczkę, obrok dawał, był u nas pastuchem.
Nie umiejąc po polsku prawie wcale gadać
Słońcami żreć czarnych wszystkich nas spowiadał.

Ojciec mój z wstrętem krzywił się słuchając wieści
O pędzonych, bezdomnych, żółtą gwiazdą męki,
Naznaczonych. A matka modliła się lżając,
Wikarego pytała, czy w radio nadają,
Co papież mówi na to? Wikary gryzł usta,
„Każdy Polak powinien przywilej w odpustach
Dostać na pięciu Niemców zgładzenie“. I marszczył
Czoło patrząc oczami które były jasne.

Żydzi — galeria cała — pomników dziesiątki,
Wstają przed mą pamięcią — milczące posągi
W ostatnim geście swoim. Żydówka, kowala
Matka stara, co do nas z getta przybiegala
Pobliskiego miasteczka. — Miała ona wnuczka
Różowego bachorka który w bryczce kucal
Gdyśmy mąkę przywieźli (jeszcze nie zawarte
Było getto). Ten wnuczek oczka miał otwarte
Zawsze szeroko, całe lazrowe.

Coraz chudsza zjawiała się u nas, zgarbiona.
Ostatnim razem — sanie akurat na łożach
Niepodkutych mieliśmy, od rowu do rowu
Ślizgały się wlatując w paszcze samochodów
Niemieckich — (aby podkuć pieniędzy potrzeba),
Zabrała się i ona z nami. Bochen chleba
Sterczał jej — drogocenny garb. — Wracała w mury.

Świat był siny od mrozu i zmierzchu. — Strzelano
Od nasypu gdzie pociąg charczał, błyskał pianą —
Stanęliśmy. Zsunęła się szara i mała
I milczała. I nawet nam się nie kłaniała.

Odechodzący. O Żydz, tłumie swój i obcy,
Maso czarna, gwałtowna. Tłumie odchodzący.
Pochodzie zgasły. Gwiazda rosła wam na barkach
Zalamanych. Ta gwiazda była także martwa.

Mżył listopadowy śnieg z deszczem, gdy znalazłam się na najtrudniejszym bodaj odcinku naszego życia gospodarczego, na przygranicznym PGR-ach nad Odrą, aby przyjąć się życiu pionierów. Minął już pewien czas i choć przypuszczam, że sytuacja uległa tam pewnej poprawie, choć wiem, że w innych PGR-ach sprawy pionierów wyglądają lepiej — piszę teraz ten nie reportaż, lecz raczej rozmowę z czytelnikami, ponieważ sposób, w jaki organizowano zaciąg i pierwsze miesiące pionierskiego życia, bardzo mocno wiąże się z problemami wychowania nowego pokolenia.

SLUBICE to przedmieście Frankfurtu. Miasteczko to, mieszczące w sobie biura Zespołu 13 PGR-ów i bloki mieszkalne pionierów, pracowników PGR-u Czerwone, leży po tej, naszej stronie Odry. Od Frankfurtu dzieli ją budki straży granicznej i most. Wieże i domy z tamtej strony widać jak na dłoni. W pustawach, częściowo wypalonych Słubicach, posiadających jedną gospodę z rzepolacymi raz na tydzień grajkami, — w każdy niedzielny poranek słychać głęboki głos kościelnych dzwonów z Frankfurtu. Wieczorami dobiegają zza ciemnej rzeki, z oświetlonych okien melodie, grane przez znakomite orkiestry taneczne. Młodzi chłopcy i dziewczęta, którzy niedawno opuścili tętniące życiem miasta Łódź i Warszawę (łódzian i warszawian tam jest najwięcej), przystają obok wypalonych domów, słuchają i mówią: „O, słyszycie? To Frankfurt! Tam jest życie!“ A potem idąc, patrząc w wygwieżdżone niebo nad nagimi skwerkami, nad wypalonymi oczodolami niezamieszkałych bloków. Potykają się o kostropaty słubicki bruk i wzdychają: „Gdyby tak na sekundę znaleźć się w Warszawie. Położyłbym się i całował każdy kamień pod nogami“.

To jest tęsknota za miastem porzucenym. Tak, niech zwolennicy socjalistycznej krzepy i taniego optymizmu nie załamują rąk. Ci młodzi tęskniaki, tęsknią do tego co kochał: do domów rodzinnych, do tłumnych ulic swoich miast, do swych warsztatów pracy, do światła, kin, teatrów. I póki nowe życie swymi wartościami nie przysłoni dawnego, będzie w sercach tej młodzieży istnieć to pęknięcie między marzeniem a rzeczywistością, nędy tym, czego się tu spodziewała, a co otrzymali.

* * *

Oglądany w kinach, bodajże w październiku, dodatek filmowy pokazywał serdeczne powitania pionierów chlebem i solą przez kierownika jednego z gospodarstw, pokazywał wspaniały o śniących parkietowych posadzkach pałac, w którym zamieszkał pionierzy. Białe łóżka, śnieżne serwety na stołach, flakony z kwiatami, suty obiad w pegeerowskiej stołówce, spożywany razem z kierownikiem gospodarstwa, potem mianowanie dwójki pionierów chlewnymi.

Autorzy drobnych artykułików w codziennej prasie zachęcali się wspinać na warunki, jakie czekają na pionierów, potem rekordowymi wynikami ich pracy. Ba, jedna z gazet zielonogórskich mówiła o pobycie czwórki pionierów na uroczystościach winobrania w Zielonej Górze, podawała nazwiska tych ludzi, których... w ogóle na winobranie nie było.

Potem przyszedł „Zwiad“ Bratnego, reportaż słuszny, alarmujący, który jednak kończył się optymistyczną pointą, nie wiadomo z czego wysnutą, bo nie z opisanego i podanego materiału obserwacyjnego. Reportaż Bratnego i potem Zalewskiego oskarżał kogoś o zmarnowanie młodzieńczego entuzjazmu pionierów. Można się było domyślić, że tymi marnotrawcami najczęściej byli: wrogo politycznie usposobieni kierownicy gospodarstwa lub tzw. „reaktywni element miejscowi“, widzący w pionierach niebezpiecznych konkurentów, podbijających normy pracy, „czyhających“ na stanowiska w PGR-ach. Tymczasem zagadnienie to jest bardziej skomplikowane, w żaden sposób nie da się tu zastosować czarno-białego schematu. Ażby je zrozumieć (ale nie zawsze i nie wszystkim przebaczyć) trzeba zastanowić się: kim są pionierzy, jak w wielu wypadkach wyglądał ich werunek, na jakie życie — pracę i ludzi natrafiali na ugorach, jak sami zachowywali się wobec nowych obowiązków i trudności. Jak im pomagano rozumieć trudności i reagować na nie, rozumieć cudze błędy i błędy swoje.

* * *

Kim są pionierzy? Jak wyglądał ich werunek?

Jeżeli chodzi o wiek — spotyka się nieraz siedemnastoletnie dzieci i trzydziestoletnich mężczyzn, żonatych, obdarzonych potomstwem. Najczęściej jednak spotyka się dwudziestolatków. Jest to młodzież przeważnie robotnicza — ślusarze, tokarze, frezery, kowale, włóknarze, szoferzy, obuwnicy oraz księgowi, biurolisci, nauczyciele, uczniowie liceali, niedokończeni studenci, abiturienti techników, nierzadko pracownicy aparatu zetempowskiego. Jakiego rodzaju była ta młodzież? Nie poprzestajmy na określeniu „najlepsi z najlepszych“, bo to jest lakier, którego „apach maci tylko w głowie. Sprawę tę trzeba rozpatrzeć jednocześnie z pytaniem, dlaczego, po co każdy z pionierów tam jechał. Oczywiście — wszyscy jechali na likwidację ugorów, ale imponderabilia towarzyszące temu zjawisku były niesłychanie różnorodne. Jechała więc karna, świadoma obywatel-

skich obowiązków młodzież zetempow-ska, ofiarnie odpowiadająca na apel Zarządu Głównego ZMP. Część z nich wiedziała, że jedzie na życie trudne, że zrazu może przyjdzie sypanie nawet i w namiotach, że czeka ich robota w polu. Czy ta młodzież nie miała w sobie nie prócz zapалу, prócz radości oczekiwania na nowe życie? Nie upraszczajmy życia, nie zubożajmy psychiki człowieka. Na dnie serc — rozmawiałam z wieloma pionierami — pulsowało pytanie: co nas tam czeka, jak nas tam przyjmą, czy poddamy tej pracy? Myślę, że ci, którzy byli przyzwyczajeni do ciężkiej, fizycznej pracy, może mniej zastanawiali się nad pytaniem: czy poddamy. Wszystkich zresztą podziwiałoby cudowne uczucie siły, jakie daje młodość, niekiedy powierzchowne, zbyt dosłowne zrozumienie zapewnien, że będą gospodarzami gospodarstw, reorganizatorami życia na zaniedbanych terenach.

Oprócz tej młodzieży, która rzuciła domy rodzinne, swoje miasta, aby przysporzyć krajowi produktów rolnych i przejąć nowym życiem odległe krańce Polski, gdzie straszyl oportunizm i obojętność wobec tego co dzieje się w kraju, — oprócz tej młodzieży, która nie zawsze pytała, jak tam się będzie żyło i ile zarabiała, byli także ludzie — i to nie wcale zjawisko ujemne — którzy zgłosili się na wyjazd do PGR-ów, przekalkulowawszy własną sytuację, mieszkaniową, rodzinną, zarobkową. Ścisnęli ci w warszawskich, podwarszawskich i łódzkich pomieszczeniach — chcieli dostać obiecane większe mieszkania, samodzielne domki rodzinne, przy których można podchować sobie trochę inwentarza, uprawiać warzywa, wyhodować jakąś jabłonkę czy gruszkę. Chcieli polepszyć sobie także warunki, może i rodzaj pracy. Niektóre punkty werbunkowe — tak twierdzą pionierzy — informowały kandydatów do zaciągu, że każdy z nich dostanie pracę w swoim zawodzie, że zarobek będzie wynosił od 800 zł. — 1200 zł. Obiecywano zaliczki, ciepłą odzież, pożyczki 3.000-złotowe dla małżeństw i pożyczki na zakup inwentarza. Wielu ludzi kierując się tymi perspektywami, spaliło za sobą wszystkie mosty, wyrzuciło pracę, zlikwidowało mieszkania i z dziećmi, z dobytkiem ruszyło na Ziemię Odzyskaną.

W gromadzie pionierskiej byli poza tym jeszcze inni ludzie, ci których na zaciąg wytypowały fabryki, zakłady pracy. Czy zawsze typowano najlepszych pracowników? Sądząc z obserwacji i wypowiedzi niektórych pionierów, pozbywano się w ten sposób niekiedy zwykłych obiboków, elegantów z Piotrkowskiej w wąziutkich portkach, dywalców Malinowej, których loki i wspaniałe wyhodowane plery żałośnie wyglądały, gdy zamiast tancerki ręce obejmują widły z obornikiem.

Pośród pionierów, tych najlepszych i tych najgorszych, jest młodzież, która chciała wyrwać się spod opieki domu, szkoły, rady zakładowej, która chciała zakosztować przygód, nowości i nade wszystko nęcącego smaku swobody. Byli także wśród pionierów jednostki, które jechały na zachód, bo im się jakoś ziemia paliła pod nogami i w legalny sposób chcieli umknąć ze swojego terenu. Byli tacy, którym nauka szła o porzecz i postanowili zmienić zawód, pozbywając się jednocześnie nęcającej ich opieki rodziców i nauczycieli. Słowem — byli ludzie ofiarni, rozumiejący ideę zaciągu, i trzejści kalkulatorzy, i kombinatory i czasem zwykli chuligani. Wszyscy oni wsiadli któregoś dnia w pociąg i nie rzadko żegnani kwiatami, muzyką, fotografowani, opisywani w gazetach — ruszyli na spotkanie nowego życia.

„Pionierzy, czekają na was piękne mieszkania...”

GROMADĘ pionierów, przybyłą do Słubic, rozdzielono na 13 gospodarstw, wchodzących w skład tego Zespołu. Część z nich została w Słubicach, gdzie na przedmieściu stoją piękne mieszkalne nowoczesne bloki. Zamieszkał w nich pionierzy przydzieleni do pracy w PGR Czerwone, przylegającym do krańców miasteczka. Rodziny dostały ładne, trzypiętrowe mieszkania z wygodami (prócz łazienek), zwiozły do nich swoje meble z centralnej Polski, wzniesione za pieniądze z dopłat z budżetu państwa. Samotni zamieszkał w 3-4 osoby w dwupiętrowych mieszkaniach (pokój z dużą kuchnią). Związałam te mieszkania. U rodzin — atmosfera rodzinna, którą stwarzały zagospodarowani ludzie z dziećmi, z ciepłą kuchnią, własnymi meblami, firankami, kilimkami itp. U samotnych — choć goło — ale wszędzie jasno, bardzo ciepło i czysto.

Rodziny jednak nie są w pełni zadowolone. Obiecano im domki, przy których można będzie trzymać trochę zwierząt inwentarza, uprawiać warzywa, co ułatwi gospodarowanie, zwłaszcza jeśli zarobki nie są wysokie.

Warunki mieszkaniowe pionierów z Czerwonego są wobec innych lukso-sowe. W PGR Owczary, odległym od Słubic o dwadzieścia kilka kilometrów, pionierzy mieszkają w izbach po 5-8 osób. Nieduże pomieszczenie wypełnia ściśle 5 przyć drewnianych z siennikami i poduszkami, wypchanymi słomą. Jeden mały stół, jedna mała dwudrzwiowa szafka, rzeczy w walizkach pod pryzmami, częściowo na gwoździach na ścianie.

W PGR Pławidła pionierzy mieszka-

ją systemem koszarowym w większych pokojach: dziesięć przyć, dwa, trzy krzesła, stolik — oto wszystko, co mają w tym „palacu“. A nie są to warunki najgorsze.

Mieszkanie w zbiorowych salach jest

do zniesienia przy wyjazdach na robo-

ty sezonowe. Ludzie, którzy przyjechali

tu osiedlić się na stałe, względnie pra-

cować dwa, trzy lata, nie mogą mieć

przed sobą ciągle widma tymczasowo-

ści w postaci dwóch metrów kwadra-

towych „życiowej przestrzeni“, przyć

z gołych desek, czasem przez dwa

miesiące nie pranej bielizny pościelo-

wej i odzieży w walizce pod łóżkiem.

Pionierom dorosłym trzeba dać obiecane

izby, czy oddzielne mieszkania. Ko-

jarzą się pośród nich pary, narzeczeń-

stwa, małżeństwa. Proszą o mieszkania,

blagają, potem krzyczą i grożą inten-

dentom, starym pegeerowcom, że wy-

niosą ich z łóżkami w błoto na dziedzi-

niec, a sami ulokują się w ich mieszka-

niach.

W rezultacie w połowie listopada

w pewnym przypadku sprawa wygląda-

ła tak, że w pięciosobowym dziewczę-

cym pokój zaczęła najpierw nocować

jedna para, potem zachecone dalsze

dwie odważniejsze. Że w takim stanie

wulgarnie wszystko, co się nazywa

miłością, że na wrażliwszych naturach

dziewcząt i chłopców zostawało do gło-

boką skazę — udowodnić nie trzeba.

A przecież wzięwszy pod uwagę tylko

interes PGR-u, powinno się dać kaja-

jącym się parom oddzielne mieszka-

nia. Ci, którzy się pożenią i dostaną

pionierskie wiano — dość dużą pożycz-

kę, zostaną tam na pewno. W ten spo-

sób PGR uzyskuje na stałe dwie śle

roboce.

Czy wiele się robi, aby poprawić

braki mieszkaniowe? No cóż, perspek-

tyw są. W PGR Pławidła już budował

się hotel robotniczy. Podobno jednak

obliczony jest na robotników sezonow-

ych. We wsi Owczary zaplanowana

jest budowa Domu Kultury, gdzie bę-

dzie świetlica, biblioteka, czytelnia,

słowem wszystko, prócz mieszka-

nia. Myślę, że w pierwszym rzędzie trzeba

pomyśleć o ludzkim mieszkaniu dla

człowieka, który wyrwany z ciepłego,

rodzinnego domu, z życia wielkiego

niemaz miasta, z własnych, ułożonych

już często jako tako kolein życia,

otwarte pośpieszył na ugor, na zabita-

ty deskami głuchą wieś, aby nam

wszystkim przysporzyć chleba. Oby

mieliśmy o tym ci, którzy chodzą po

pięknych ulicach Warszawy, zasnada-

ją w fotelach teatrów, kin, w lokalach

Klubów Międzynarodowej Prasy i

Książki, którzy mają swoje wielopo-

kojowe mieszkania, biurka, kluby, dy-

wany i światła, a którzy jednocześnie

mogą zmienić los pionierów. Kromka

chleba, którą jem, ziemiak na moim

talerzu, zawsze mi przypomina pochylo-

ne grzbiety tych nieraz dzieci nad po-

tem buraczanym, ubłocone gumowe bu-

ty brodzące w rozmoakłym kartoflisku,

zbiegnięte na deszczu ze śniegiem czer-

wone ręce i — ciasne izby z pryzmami,

na których prostują złośliwe, nienawy-

kne często do takiej pracy — grzbiety.

„Czekają na was jasne stołówki z smacznym jedzeniem”

RODZINY w tym luksusowym pod względem warunków mieszkaniowych PGR-ze Czerwone, otrzymawszy samodzielne mieszkania, nie korzystają ze stołówek. Dostali deputaty ziemniaków, warzyw, jarzyn, owoców i gotują u siebie. Samotni jadają w stołówkach, mieli poza tym otrzymywać litr mleka dziennie. W praktyce mleko jest — jak mnie informują pionierki z Owczar — przez tydzień po zrobieniu awantury, po telefonach do KP PZPR, potem znów znika. W PGR Pławidła było sto krow, ale same jałówki. Chłopcy na śniadania i kolacje pili czarną kawę. Na moje słowa na ten temat dyrektor Zespołu odpowiada: „To czegoś mi ten kierownik nie powie. Przecież mogę im podesłać ze dwie mleczne krowy.“ Kierownik Wieczorek jest jednym z najbardziej zapobiegliwych, a jednak — czyż trzeba aż przyjazdu pisarza z Łodzi, który wypisywał na kolację i śniadanie czarną kawę, wpadł na pomysł zainterweniowania w sprawie... mleka dla pionierów. Szkoda tylko, że nie zdążył sprawdzić, czy biurokratyczna machina zdołała tę sprawę załatwić.

Stołówki pionierskie w PGR-ach w okresie mojego pobytu przedstawiały się bardzo miernie.

Wyżywienie było bardzo dobre zaraz po przyjeździe pionierów. Potem pogorszyło się gwałtownie. W stołówce PGR Czerwone byłam kilka razy, rozmawiałam o tych sprawach z bodaj dwudziestką młodzieży. Narzekali wszyscy. Na śniadanie i kolację kawa przeważnie z mlekiem, chleb z margaryną; czasem kwaśne powidlą, rzadko smalec. Czasem zupa mleczna. Na

WANDA KARCZEWSKA

NA ZAGROŻO

obiad wciąż nieśmiertelny gulasz z wodnistym sosem, bez smaku. W tych warunkach pionierzy nieraz byli głodni, zwłaszcza wieczorami.

Z magazynierem, Filipczakiem, jednym ze starszych pionierów, bierzemy kierowniczkę kuchni „w obrot“. Dziwi się skargom. „Pierwszy raz“ je słyszy. Wszyscy są przecież „szalenie zadowoleni“.

— A pani je to, co pionierzy? — rzucam zapytanie.

Kierowniczkę kuchni czerwieni się, ale mówi uczciwie:

— Nie...

— Dlaczego?

— Bo mnie to nie smakuje. Te kobiety tak jakoś dziwnie gotują.

Otóż właśnie. Nie jestem także pewna, czy „te kobiety“ z kuchni jedzą zawsze to samo, co pionierzy.

Tak jest w Czerwonym.

Do PGR Owczary zajeżdżam po raz drugi po południu. Kolacja jest o siódmej. W gołej, ciemnej stołówce pracownicy, a więc traktorzyści przeważnie z POM-ów z centralnej Polski, robotnicy brzozy remonto-budowlanej, pionierzy — siorpią manę na rozwodnionym mleku. Ziarno manny goni ziarno; przyszyja się do tego suchy chleb.

Na śniadanie, które je się jeszcze o rannym zmroku, wyjeżdża przez okienko stołówki coś, co budzi protesty i przekleństwa. Jest to sina maź, która ma przypominać zacierkę na mleku. Szesnastoletnia pionierka Jagoda, zastępująca kucharkę, klnie wespół z innymi na magazyniera:

— Dał czarną mąkę, ani jednego jajka i pięć litrów mleka na 38 osób. Co miałam z tego zrobić? Musiałam dolać 20 litrów wody. Przerachowałam się z mlekiem, powiada.

Trzaskanie łyżkami, drzwiami, przekleństwa. Ten i ów odgraża się, że nie pójdzie do roboty. Nie będzie o pusłym żółdaku pracował osiem godzin. Uroczy, o nadludzkiej cierpliwości (aż to denerwuje energiczne dziewczęta) pionier Zbyszek Swoboda, pomocnik traktorysty, wbiega oburzony do pokoju, gdzie mieszkam z pionierkami. Jest głodny i wściekły. Narzeczona jego, przewodnicząca owczarskiego koła ZMP, spokojna i cierpliwa Alina Zawisła, mówi ze smutkiem i z wolą wytrwania:

— Idź, Zbyszek, do pracy. Ty nie możesz nie iść.

— Wiem, wiem — odpowiada tamten — ja przecież tylko tak, na chwilę... Pójdę, tylko mechanik dokręci mi tam coś w traktorze.

Chemy kupić coś do zjedzenia, ale gdzie, skoro w Owczarach, jak zresztą w wielu innych wsiach, w sklepie można dostać przede wszystkim wódkę, papierosa i olej.

Przychodzi pora sporządzenia obiadu. Służbę w kuchni mają znowu Jagoda i Celina Ulinowicz. Energiczna i wiecz- nie zbuntowana przeciw pegeerowskiemu porządkom Celina ma jeden zwyczaj: ile razy ją coś doprowadzi do pasji, mówi do spokojnej, zrównoważonej Aliny, że się pakuje i wyjeżdża. Alina odpowiada na to nieodmiennie:

— Nie wyjedziesz, Celinko. Nie możesz.

Celina protestuje, wymyśla, z wściekłości ma nieraz łzy w oczach. Powtarza: — A właśnie, że wyjadę, pisali z domu, żeby nie czekać pierwszego, tylko już jechać. — Ale wszystko kończy się nagłym oświadczeniem: — A właśnie, że na wszystko nie wyjadę. Ja im pokażę, ja tu wszystkich przetrzymam, magazyniera, kierownika. Niech ich diabli wezmą!

Teraz gniew jej budzi sytuacja z obiadem. Magazynier dał im do dyspozycji na obiad: kapustę, trochę jabłek i prasowanej słoniny. Obie dziewczyny podniosły w kuchni awanturę:

— Gdzie mięso? Po takiej kolacji i po takim śniadaniu chcesz kapuchą ludzi zapchać?

— Nie ma mięsa. Nie dostałem. Za prędko tamto wygospodarowałyście.

— Nie myśmy wygospodarowały, tylko weterynarz kazał wyrzucić, bo było śmierdzące i z wrzodami. Już i tak nieraz śmierdzące gotowałyśmy (Zgadza się, jadłam tam istotnie, wpadłszy poprzednim razem, nieświeży gulasz).

Pionierki nie dają się przegadzać magazynierowi. Kłóca się zjadają:

— Trzeba się było wcześniej postarać o przydział. Idź, jedź, gdzie chcesz, pożycz, złap w polu barana na obiad, a przynieś. Jak zadzwonimy ze skargą do Słubic do Komitetu, to się zaraz mięso znajdzie.

Zmyty magazynier odchodzi. Jedzie do pobliskiej Górzycy, gdzie podobno wczoraj zafasowali kiebasę. Chce pożyczyc. Górzycę odmawia. Pobrali dla swoich. Magazynier wraca z niczym. Spotykam go na dziedzińcu z rękami wciśniętymi w kieszenie, z niegoloną rudawą szczeciną na okragłej rumianej twarzy. Czapkę ma głęboko naciśniętą na oczy. Jest bardzo zły. Pytam jednak:

— No i co będzie z tym mięsem?

— Nic. Dość już mam wszystkiego.

Za tych sześćset złotych miesięcznie, tylko wieczne użerki w Słubicach, żeby dostać prowiant, tu — żeby dać coś do kuchni.

— No, to inna sprawa — mówię i myślę o artykule Celiny Ulinowicz, drukowanym w „Gazecie Zielonogórskiej“, w którym magazynierowi temu postawiono zarzut kradzieży mięsa i części stołowych wędlin. — Musi pan coś wykombinować. Nie macie swojej trzody?

— Ech, dam im ze swojego. Znajomek zakuliś swinię, pożycz mi trzy kilo, dam to do kuchni. Jutro sobie odbiorę z przydziału.

Po chwili jestem w kuchni. Jagoda obraca kawałek mięsa na wszystkie strony. Razem z kością waży 2 kilo osiemdziesiąt deko. Jagoda mówi do mnie:

— Patrz pani, to jest na trzydzieści osiem osób. Co ja mam z tym zrobić?

— A „Gazeta Zielonogórska“ wie o wszystkim — dorzuca zirytowana Celina — towarzysze ze Słubic wiedzą. O magazynierze, o naszym wyżywieniu, i co? I nic. Przyjeżdżają z gazet, z radia, proszą — mówcie prawdę, pomożemy wam. Trzeci miesiąc już tak pomagają.

W Pamięcinie, gdzie przyjeżdżam po południu na zebranie kierowników gospodarstw, staram się coś kupić do zje-

zienia. Doremnie. Sklep jest zamknięty. „Zresztą“ — informują mnie SP-ówki — tam jest tylko wódka i papierosy, trudno. Pociągają mnie tylko dwie wiadomości: magazynier z Owczar ma być zdjęty. Zastąpić go ma pionier. W Słubicach, gdzie dojeżdżam wieczorem, dochodzi mnie druga wiadomość: bu-

chalterowi z Owczar grozi dochodzenie sądowne. Zastąpi go, być może, pionier, księgowy. Czyżby to miało znaczyć, że wszyscy pionierzy są nieposzlakowane uczciwi? Nie, odpowiedz na to pytanie otrzymuję tego samego dnia na zebraniu kierowników poszczególnych gospodarstw. Oto w jednym PGR-ze zruceno ze stanowiska, bodaj brzozy, jednego z pionierów, ponieważ sprzedał dwa wozy kartofli „na lewo“. Ale bat na kombinatora jest. Każdy zły pracownik będzie zastąpiony lepszym, jeśli się taki w szeregach pionierów tylko znajdzie. Jedną jest tylko sprawa, mianowicie: obsadzenie magazynierów i t. p. najuczciwsi i najbardziej zapobiegliwi pracownikami nie załatwi kwestii wyżywienia, o ile kierownik gospodarstwa nie zainteresuje się, co jezą jego pracownicy. Ale oczywiście i kierownik gospodarstwa nie stworzy cudów, jeśli jeszcze dwie inne kwestie nie zostaną uregulowane. Pierwsza — to zdobycie do kuchni wykwalifikowanego personelu. „Dopóki kuchnie PGR-ów nie będą obsadzone absolwentkami szkół hotelarskich, dopoty u nas nie będzie dobrze“ — słyszę roz-

ważne słowa inspektora Zjednoczenia Górzowskiego PGR. Niech władze centralne pomyślą i o tym, niech o tym pomyśli ZMP: jeżeli potrafiono zwerbować nadmiar księgowych, czemu by nie dało się przyciągnąć wykwalifikowanych kierowniczek kuchni, istotnie tych „najlepszych z najlepszych“.

Wreszcie druga kwestia: zaopatrzenie. „Coż z tego, że na papierze mam przydział żywności, zwłaszcza tłuszczu, kiedy w praktyce go nie ma. Kierownik gospodarstwa to rozumie — mówi mi dyrektor zespołu — ale pracownik, ale pionier tego nie rozumie“. Istotnie kierownik to rozumie, zwłaszcza że nie jada w stołówce, lecz u siebie w domu, natomiast pionier musi to jeść, co mu dadzą, lub nie jeść tego, czego mu nie dadzą. Prawda, nie wszędzie tak jest z zaopatrzeniem. Ten przygraniczny teren jest szczególnie trudny. Pierwszeństwo w zaopatrzeniu ma wojsko, rodziny wojskowe. Ale czyż ci młodzi ludzie to nie wojsko wysłane w bitwę o zbory, czyż to nie jest front, gdzie toczy się dramatyczna walka o chleb? Walka o przemianę wsi, o nowe życie, walka o to wszystko, po co pionierzy zostali rzucone na ugor materialnie i duchowo?

I jeszcze jedno. W drobnej części może pionierom pomóc założenie w PGR-ach czy wsiach sklepów, gdzie można będzie dokupić coś więcej niż wódkę, olej i papierosy. Pomyślcie o kantynach na wzór wojskowych, prowadzonych bez obciążenia na zysk?

Ale ta sprawa możliwości dokupywania jedzenia w sklepach wiąże się z zarobkami pionierów, o czym — dalej...

0 sprawach najtrudniejszych

BYŁOBY nieprawdą, gdybyśmy stwierdzili, że wszyscy pionierzy zarabiają mało. Notuję skrzętnie w myśli to, co mi powiada szofer Woźniak z Czerwonego:

— Mnie źle nie jest. Póki jest w polu orka, zarabiam jako traktorzysta dwa, trzy kawałki. Szwagier pracuje za mną jako mój pomocnik. Ma 65% moich zarobków. Potem, jak nie będzie roboty w polu, będę robił w transporcie, będziemy rozwozić ze szwagrem mleko. Też swoich 1200 zł. się zarobi. Prowadzimy

NYM ODCINKU

jeszcze jeden pionier, też dobrze zarabia. Zonę przy sobie mam, teściową złą, kobitę mam, dom zorganizowany, dobrze jest. Jak się ma fach w ręku, to się nie zginie. A czy pracować tu, czy pod Warszawą, wszystko jedno. Ja nawet wolę tu, ze względu na mieszkanie.

Kto inny, młody technik melioracji, rok po ukończeniu warszawskiego technikum melioracyjnego pracował w stolicy, zarabiając 1200 zł. Tutaj ma — 2000 zł. Jest to przyjemny, szczupły, schludny chłopiec, bardzo porządkowy, spokojnie. Tydzień pracował przy wykopkach, ale z góry wiedział, że go stamtąd wyluskają. Istotnie, odnaleźli go, z miejsca zaproponowali kierownictwo robót melioracyjnych na kilkuset hektarach, stojących od wielu lat pod wodą. Poprzedni kierownik grupy melioracyjnej, zamiast do rowów na polach, zbyt często zaglądał do kieliszka, rozpijając nawet załogę. Miejsce jego zajął pionier. I jako pionier stara się w miarę potrzeby wciągnąć do swojej grupy towarzyszy — p-onów, gdzie każdy tych swoich 1500 zł. zarobi. Na razie przyjął dwóch, zonytych. — „Taki co ma zonę i dzieci, musi zarobić więcej” — wyjaśnia mi poważnie. — „Może uda mi się jeszcze kogoś z naszych tam wsadzić”.

Zarobki więc fachowców, ale fachowców, którzy mogli dostać pracę w swoim zawodzie — traktorzystów, pomocników traktorzystów, szoferów, ślusarzy — nie są złe. Czasem większe, czasem mniejsze niż dawne zarobki w fabrykach, gdzie poprzednio pracowali. Ale nie wszyscy mogli dostać pracę w swoim zawodzie. I nie zawsze można w.n.c. dyrektora Zespołu czy kierownika gospodarstwa, że nie biorą pod uwagę kwalifikacji pionierów. Bo jak brać pod uwagę kwalifikacje górników, szewców czy buchnaterki, jeśli buchnaterów zjechało tu za wiele — frezera, tokarza, gdy warsztaty są już pełne i gdy brak jest właśnie rąk do prac polnych? Zarobki zaś brzygad połowych i podwórzowych wynoszą przeciętnie kilkanaście złotych dziennie w pełnym sezonie. Dlatego też pionierzy, zwłaszcza w ślubickich PGR-ach, gdzie najczęściej zebrało się ślusarzy, mechaników itp. garną się do traktorów. Pociągają ich i większy zarobek, i jakiś swoisty romantyzm zawodu. Do traktorów garną się także i dziewczęta, które przedtem nie z maszynami nie miały wspólnego. Operowanie traktorem na madach nadodrzańskich to nie to samo, co na mazowieckich piaskach. Odpowiedzialny za awarie maszyny jest traktorzysta, o ile ma prawo jazdy i kurs, lub kierownik gospodarstwa, jeśli się niewykwalifikowana puści na traktor. Młodzi, zapalczy pionierzy nie zawsze te rzeczy rozumieją. Oczywiście można, musi się podnosić kwalifikacje pionierów poprzez różnorodne kursy. Jeżeli chodzi jednak o kursy dla traktorzystów, to Zespół Ślubicki na kursy traktorowe na silnikach ciężkich dostał tylko 4 miejsca. Zgłoszeń samych pionierów było co niemiara. O innych kursach na razie nie było słyhać, bądnym jednak sprawiedliwi — pełnia sezonu jesiennego nie jest odpowiednim czasem na organizowanie teoretycznej nauki rolnictwa.

Jeśli chodzi o kursy, a zatem o podnoszenie kwalifikacji, w konsekwencji zaś zarobków, nie bądnym zbytnimi optymistami. Owszem, kursy (i to nie namiastki) mogą przygotować fachowców, których w każdym gospodarstwie będzie trzeba kilku. Zawsze jednak, prócz sił kierowniczych, potrzebna będzie pewna ilość prostych robotników: do buraków, ziemniaków, do obory i stajni, potrzeba pomocniczych sił w kuchni, furmanów, pastuchów. Oczywiście, dobrze będzie, jeśli te siły będą miały jakieś kursy zoo- i agrotechniczne. Nie zmienia to jednak ich uposażenia, normowanych przecież ustawą Ministerstwa PGR-ów, chyba że przyjął odpowiednie uchwały rząd, podnoszące zarobki brzygad połowych i podwórzowych, względnie że pionierów nie będzie się kierować do tych najmniej płatnych zajęć. Wtedy jednak inaczej musiałby wyglądać werbunek, bo człowiek z obecnego zaciągu, nie mający przeważnie żadnego pojęcia o pracy w PGR-ze, nie może w większości wypadków zajmować kierowniczego stanowiska. W województwie zielonogórskim były wypadki, że pionierzy objęli funkcje kierowników gospodarstw. Sądzę jednak, że musieli to być ludzie z jakimś przygotowaniem albo praktyką rolniczą.

Oczywiście, obecną sytuację pionierów — już wtedy było to widać, w listopadzie — można w pewnym zakresie poprawić i poprawi czas. W miarę rozwoju i zagospodarowania pougrodowych lub zaniedbanych gospodarstw nadodrzańskich — zwiększyć się na przykład tabor. Przybędzie ciągników, samochodów, kombajnów, żniwiarek, kosiarek itp. Część trzymany obecnie w rezerwie i pracujących w oborach, stajniach i w polu ślusarzy, tokarzy, kowali itp. przejdzie na nie, jak również sądzę, do warsztatów remontowych, które także muszą się wtedy rozwinąć. Ale część. A chcieliby wszyscy.

Niewysokie zarobki niektórych pionierów tłumaczą się jeszcze tym, że nie licząc, rzecz jasna, zwykłych obiboków i bumelantów) jako urzędnicy, nauczy-

cieli, tokarze, frezerzy — nauczyli się pracować bądź to głową, bądź nabyli zręczności oka i palców, ale nie mają praktyki w pracach na roli, a przede wszystkim nie nabyli siły fizycznej, jakiej trzeba do pracy w polu. Owszem, ci, którzy byli przyzwyczajeni do dźwigania ciężarów, do pracy ze zgiętym grzbietem, ci szybciej przyzwyczajają się do roboty przez ośmiem czy jedenaście godzin w pozycji zgiętej, do noszenia koszy kartofli, do nabierania i rzucania w górę na wóz kilkukilową łopatą jeszcze kilku kilo kartofli. Słabsi fizycznie, zwłaszcza chuchrowate miejskie dziewczęta, w połowie dnia czują, że im grzbiet pęka i ręce opadają. Postawienie na kultywatorze lub przy burakach — zostają w tyle za innymi, opóźniają robotę całej brzygady. — „Ja nie wiem, czy przywyknę do pracy w polu — mówi mi owczarska pionierka, drobna waga dziewczyna, pełna wówczas woli pozostania na stałe. — Dźwiganie koszy z ziemniakami przechodzi moje siły. Ile koszy odniosę, tyle mam siły nych placków na udzie”. Jeżeli istniejące kolektywy, jak w brzygadzie sadowniczo-warzywniczej w Czerwonem, gdzie m. o. dzieć umie pracować zespolowo i podciąga słabszych, praca idzie sprawnie, choć kokosów też się tam nie zarabia.

Sprawa pracy i płacy jest więc skomplikowana.

A słońce zima. Perspektywa, że robót w polu już nie będzie. Watowane kufajki i gumowe buty, to często jedyna ciepła odzież. Ale te ubrania pracownicy brzygad połowych i podwórzowych muszą spłacać. Kosztowały około 300 zł. Urwaj człowiekowi 100 złotych z 350—500, z których 300 musi pójść na stołówkę — ile zostanie? Toteż nie wypłat były dniami zalamań, i nieraz dezercji. Myślę, że sprawę tych ciepłych ubrań dla brzygad połowych trzeba potraktować tak jak kombinowany dla traktorzystów, czyli dać bezpłatnie. W ostateczności w nich pracują w polu. Inaczej dojdzie do tego, że młodzież będzie biocila w glinie do pasa swoje jedyne nieraz porcieta i spódniczyny, bo są tacy, którzy z oszczędności nie wzięli waciazków.

Sprawa zarobków wydaje mi się najtrudniejszym zagadnieniem. Rozwiązanie jego wiąże się przede wszystkim ze zmianą metody dalszego zaciągu pionierów, o czym — na końcu.

Po pracy...

JEŻELI o pracy kulturalnej piszę w tej kolejności, to dlatego, iż sprawy bytowe, poza wadami natury organizacyjnej, w pewnej mierze miały wpływ na marazm życia świetlicowego, jaki skonstatowałam w listopadzie, a więc prawie w trzecim miesiącu pobytu pionierów w PGR-ach.

Świetlice w Pławidłach, Owczarach i w Czerwonem właściwie nie funkcjonowały zupełnie. Zabaw tanecznych, jakie odbywały się w świetlicy owczarskiej oraz w Pławidłach, gdzie rezultatem „nawiązywania kontaktów z miej-



Rys. B. Liberski

scową ludnością” było wywołanie jednego z pionierów w ciemność, skopanie go i odwiezienie karetą pogotowia w stanie bardzo ciężkim, z obrażeniami kręgosłupa do szpitala. — tych rzeczy oczywiście nie będziemy uważali za życie świetlicowe.

W Czerwonem były podobno zaczątki pracy świetlicowej, urządzono nawet akademie październikową, jak mnie informują pionierzy, ale praca ta zamarlała zupełnie. Oglądam zresztą w tej gołej, pustej, ciemnej i zimnej salce reszki ozdób z bibuły, którą pionierzy musieli za własne pieniądze kupić, ponieważ, jak twierdzą, nie było na to żadnych funduszy. Stoi w tej salce parę stołów pod ścianą, nierozpakowana paczka z książkami — sporo dzieł marksistowskich, trochę beletrystyki.

Pod koniec mojego pobytu w Czerwonem znalazły się już stoły, krzesła. Książki świetlicowy skatalogował, porządkowane były gazety, ale nikt do świetlicy nie chodził.

Na Pławidła krzesła i stoły do świetlicy przybywają w przeddzień mojego

przyjazdu. Świetlica jest nie opalana, pionierzy pokazują mi jaki mają tam wspaniały piec, zdejmują górne kable jak nakrycia głowy. Grupa remontowobudowlana ma przeprowadzać remont. W Owczarach świetlice właśnie malowano, w obu majątkach żadnych imprez nie było.

Z kierowniczą Wydziału Kultury w Prez. R. N. w Ślubicach odwiedzamy kilkakrotnie młodzież w Czerwonem, staramy się dociec przyczyn nieistnienia życia kulturalnego wśród pionierów. Rozmawiamy z młodzieżą, dochodzimy do wniosku, że oni sami nie umieją po prostu ruszyć z miejsca z pracą. Rwą się, owszem, do zespołu muzycznego, który by przygrywał do tańca. W ostateczności lepsze byłyby nawet potańcówki w świetlicy, niż w gospodzie. Brak też młodzieży kogoś z minimalnym doświadczeniem świetlicowym, brak organizatora, materiału literackiego.

Persona taka, jak kulturalno-oświatowa przy zespole Ślubickim istnieje, ale co robi konkretnego, trudno na razie się dowiedzieć. W świetlicy w Czerwonem nie bywa, w Pławidłach też nie, w Owczarach — jak mówią mi pionierki — była, zdaje się, raz.

Z tow. Skibińską, kierowniczą Wydziału Kultury przy P. R. N. w Ślubicach, która z całym ciepłem i serdecznością chce pomóc młodzieży, aczkolwiek ma na głowie cały swój wydział, która szuka materiału na pierwszą imprezę, chce im wyreżyserować pierwszą składankę, martwi się o akordeon, sprowadza wreszcie kiedys pionierom do bloku małego chłopca z akordeonem, i rozmawia o pracy świetlicowej, — z tą miłą i przejętą swoją pracą kobietą usiłujemy znaleźć pegeerowską K. O. Odnaleźliśmy ją wreszcie w domu, w łóżku. To młode dziewczę, zameżne zresztą, jest zdziwione, że można od niej wymagać bliźszego zainteresowania się poszczególnymi świetlicami. Nie rozumie, że ścisły kontakt z terenem, dostarczanie materiału, instrukcje, inicjatywa, jakie zespoły w danych warunkach można zorganizować — teatralne, muzyczne, recytacyjne, że to jest właśnie praca pegeerowskiego centralnego instruktora świetlicowego. Wydaje się nam, jak również pionierom i pracownikom zespołu, że ta K. O. nie zdaje sobie sprawy ze swoich obowiązków jako terenowego działacza kulturalnego, z doniosłości funkcji jaką spełnia, z tego w ogóle, jak świetlica dobrze prowadzona może i powinna przeznaczyć życie młodzieży.

Oczywiście okres robót jesiennych nie bardzo sprzyjał rozwojowi życia świetlicowego, nie mniej jednak już wtedy w listopadzie znalazłymi np. w Czerwonem wraz z tow. Skibińską grupę młodzieży, która rwała się do pracy świetlicowej. Są tam chłopcy o ładnych głosach, jak Leszek Szpangel, który był — jak mówią — półtora roku w Mazowszu, jak Lucjan Szczepny, obdarzony pięknym, niskim głosem, są chłopcy grający na akordeonie, skrzypcach, flecie, jest Jurek S. z Łodzi, który opowiadał mi o pracy teatru straży pożarnej w Łodzi, skąd przyjechał, który prosi: „Dajcie nam skecce, monolog, scenki, zrobimy”. Można by połączyć na początek, czy na stałe, pracę pionierów z pracą koła artystycznego przy PRN Ślubickim, członkinie tego koła gotowe były współpracować z pionierami. Sekretarka koła zetempowskiego w Czerwonem mówi do mnie z prośbą, z zapalem:

— Żeby się kto znalazł starszy, doświadczonec, co by nam pokazał, jak to

Jestem w Pławidłach. Siedemnastu pionierów, siedemnastu chłopców, jak żywe srebro, obiadło mnie ciasno i mówi z goryczą:

— Obiecywali, że Artos będzie do nas do PGR-ów przyjeżdżał, i teatr. Wszystko, żeby nas tylko wypchać z tej Warszawy, z tej Łodzi. A teraz co?

Przykro słuchać. Spieć tej nocy w Pławidłach, podłożywszy sobie z braku poduszki piasek pod głowę. Noc jest piękna, księżycowa. Aż biało za oknami. Na szybę, jak kruche inkrustacje z ciemnego srebra — gałązki drzew. Zza tych drzew, spoza zabudowań, zewsząd, słyszę długo w noc granie „Stalińców”, „Zetorów”. To traktorzyści, korzystając z jasnej nocy, orzą przy księżycu nadodrzańskie mady. Zbliża się termin kończenia orek, chcą zdążyć na czas. Nad ranem słyszę ciężkie człapanie butów na schodach. Wracają z pola, aby wstać do pracy znowu za parę godzin.

Czy tym ludziom nie należy się dobra rozrywka? Czy nie należałoby pomyśleć o zorganizowaniu życia sportowego, które by wypełniło im wolny czas? „Prosimy Zespół o piłkę nożną, o siatkę, my byśmy sobie po robocie, czy w niedzielę jeszcze chętnie poskakali czy pobiegali po boisku”. — mówili chłopcy. W Ślubicach jest wspaniały stadion na 100.000 widzów, jest basen kąpielowy, zapuszczony, zarosnięty zieleńcem. I jest także Jerzy Matusiak, instruktor Wychowania Fizycznego i Sportu I klasy państwowej z ukończonym rocznym kursem Akademii W. F. we Wrocławiu, wieloletni instruktor łódzkiej „Gwardii”. Jerzy Matusiak, powiada: „Ja bym systemem gospodarczym doprowadził basen kąpielowy do stanu użytkowania, zorganizowałbym drużynę sportową w każdym PGR-ze, prowadziłbym rozgrywki, w zimie urządzałbym turnieje tenisa stołowego. Od miesiąca mam umowę w kieszeni na pracę w tutejszych PGR-ach i od miesiąca chodzę i wystaję w poczekalni Zespołu. Teraz jadę do Biskupic na magazyniera. Serce mi się kraje, że mam zostawić ten basen, ten stadion. Przecież jakby mi dali robotę tutaj, mógłbym się zająć organizacją życia sportowego. Zarabzy młodzież przestała i pić i bradziżyć się...”

Chwytam dyrektora Zespołu, referuję sprawę Matusiaka, dyrektor pierze stąpionego człowieka, mówi:

— To niech już pan nie jedzie do tych Biskupic. Trzeba pana istotnie tutaj urządzić. Ja sobie dopiero teraz uświadomiłem, co pan tu może zrobić ze swoimi kwalifikacjami...

Strapiona twarz Matusiaka odprężyła się. Zegnamy się. Ale ja jestem niespokojna: czy został instruktorem wychowania fizycznego? Czy stadion i basen ślubicki będzie służył młodzieży? Czy sport wypełni jej dorywcze, mainowany wolny czas?

Bo co robili do tej pory pionierzy ze swoimi wolnymi chwilami?

Niektórzy z Czerwonego chodzili po trzy razy do kina na jeden seans. Spacerowali po ulicach, podśpiewując, jak Leszek z Mazowsza. Inni grali w karty, siedzieli po izbach, mówili. Ciągłe o tych samych sprawach. Chłopcy o dziewczętach, dziewczęta o chłopcach, kochali się. Teraz sprawy pijanstwa i wyrobki seksualnych wśród pionierów nieco przycichły. Złą stawa ciesz się jeszcze Górzycy. (Pionierzy stamtąd bronią się: „Takich paru opryszków jakich my mamy, potrafi całemu zespołowi zrobić opinię”). Nowocześnie „ziółta młodzież” poumieszczano w PGR-ach dalekich od miasta, od barów, od wódki, czasem w PGR-ach bez dziewcząt. Ale na początku? Jak było na początku — opowiadała mi urzędniczka w zespole, opowiadała przede wszystkim sami pionierzy. Siedzę w mieszkaniu dwóch dziewcząt z Czerwonego, gdzie przyszedłem z dwoma oprowadzającymi mnie pionierami. Zastaliśmy tu gromadkę chłopców.

— Na początku było niedobrze — mówi jeden ze starszych pionierów — trudno było sobie dać radę. Zrobiliśmy sami komisję obyczajową, zabraliśmy się do naprawy obyczajów. Walczyliśmy z pijanstwem, z rozpustą, robiliśmy wieczorne obchody po mieszkaniach.

Wypadki jak w Górzycy, gdzie pionierzy kiedys, zamiast pracować w polu, zapalili ognisko, piekli kartofle, pili wódkę, awantury itp. — oto cienie, jakie pierwsze tygodnie rozpasanej swobody rzuciły na ten nadodrzański świat pionierski. Te czasem niemal dzieci, te podrostki i dziewczęta, w których odzywały się pierwsze drgania erotyczne — jakże łatwo pociągnąć w stronę bikińistwa i chuligaństwa, jeżeli nie ma nad nami czulej mocnej dłoni jakiegoś Makarenki, sprawiedliwego serca Batmanowa, jeśli nie ma kogoś, kto by ukazywał perspektywy innego, szlachetniejszego życia, dostarczał godziwych rozrywek, pracy w zespołach artystycznych, jeśli czytelnicy i świetlice nie uczyni się przytulnym domem, gdzie każdy po pracy chętnie przyjdzie.

Łódź, podobnie jak Warszawa, wysłała tę młodzież w świat. Dobry ojciec i dobra matka nie zapominają o swoim dziecku, skoro ono wyjedzie z domu. Zwalaszca, jeśli obcuje pamięć i pomoc. Proponuję teatrom łódzkim, oraz Artosowi utworzenie dwóch ekip artystycznych, które raz w miesiącu będą odwiedzały PGR-y w ich świetlicach z programami estradowymi. Niech w tych programach znajdzie się satyra, pieśń, humor i najlepsze poezja. Poezja, która ukaże m. in., czym może być przyjaźń i miłość. Miłość pojęcia

jako związek dwojga towarzyszy życia, jako piękna i jasna strona życia. Strzeżmy się tylko frazesów i sloganów. Młodzież ta uodporniona jest na nie w sposób krańcowy. Zrobiło to samo życie. Zespoły takie powinny rozporządzać własnym środkiem komunikacyjnym, aby wbrew lokalnym trudnościom przyjeść do młodzieży do zapadłych wsi i powiedzieć: „Jesteśmy, nie zapomnieliśmy o was, kochani. Znamy wasze trudne życie, wiemy, że wy pracujecie dla nas. Dziś my chcemy dać wam trochę naszego trudu”. Niech nazwiska dobrych recytatorów, jak T. merson, dobrych aktorów estradowych, jak Szwajcer, Stempowski, Wilczyński, Sawinowa nie bliższą tylko w Łodzi, ale i tam, gdzie jest słono, i ciemno, i smutno. Niech ekipy zabierają ze sobą materiały literackie i satyryczne, pieśni, scenki, które można tej młodzieży zostawić, pokazawszy jak uporać się z inscenizacją i reżyserią. To jest obowiązek nas, łódzian, w stosunku do naszej łódzkiej młodzieży. Fabryka „Ursus” spod Warszawy przekazała pionierom ciągniki, książki, grupa remontowobudowlana w ilości 75 osób pojechała naprawiać im mieszkania. Co da Łódź?

„Czy znajdziemy swojego Batmanowa?”

KIEROWNIKA WIECZORKA w Pławidłach pionierzy nazywają Dziadkiem. Dziadek ma jakieś 48—55 lat, jest krzepki, energiczny. W PGR-ze zaprowadził twardą dyscyplinę pracy.

— U nas jest dyscyplina prawie wojskowa — mówi wysoki, szczupły Czesiek, ale to dobrze. Inaczej by się wszystko rozlało. Godzina 6-ta — po budka, Dziadek ściąga koc z nóg i konicie.

— U nas nie ma tego, żebyś nie wstał, albo żebyś miał dwie godziny na obiad. Odłóżysz łyżkę, kierownik bierze cię za rękaw i idziesz do roboty. On mas goni, ale musi, bo jego też goną. Zresztą to PGR całkiem nowy, pougrodowy, wszystko trzeba robić od początku, wyremontować, wyprowadzić. Trudno. Ale my na Dziadka złego słowa powiedzieć nie damy... — mówi Leszek, przewodniczący koła ZMP, który nie szczęśliwie zresztą słów krytyki tam, gdzie ta krytyka jest słuszna.

Dziadek mówi o pionierach zyczliwie — dzieci, studenci. Tego nazwał Filozofem, owego Profesorem. Oprowadza mnie po ogromnej stajni i oborze — nowoczesnych, zmechanizowanych, przygotowanych właśnie na przyjęcie stada 100 jałówek, stojących jeszcze na dworze. — Tutaj było gnoju na metr, jeszcze od czasów niemieckich. Zbite to było na beton. Wszystko wywieźli pionierzy. Dłubali powolutku, nie kto miał siły, ale zrobili. Niektórzy z nich to robotne chłopaki, ale niektórzy przecież to jeszcze dzieci, nie przyuczone do takiej roboty. Ale ja sobie znalazłem sposób. Nie masz siły do ciężkiej roboty, dam ci lepszą, nie dasz rady gnoj wywalać, będziesz rąbał drzewo, nie dasz rady drzewa rąbać, noś wodę. Muszą przywyknąć. Bo pracować muszą, żeby zarobić. Zarabia mało — oni będą rozgryzieni, ja dostanę wygawor. Wyjechałem na trzy dni, bractwo rozbalamucio się, to ich teraz przyciskam, muszą te trzy dni nadgonić. Robię co mogę, żeby jakoś szło. O, chłopcy lubią sobie na przykład na koniu pojeździć. To im powiadam: ty dostaniesz konia na dwie godziny, ale bierz miotłę, wymieć błoto i słomę z izby, bo zgnieję w tym brudzie, ty pojedziesz godzinę — ale nanosisz wody... Przykrzy im się tu, prawda, warszawscy, łódzcy, a tu szesere pole. Dziewcząt nie ma. Były — poszły. Rad jestem, że ich nie ma. Oni — mniej radzi. Wódka? No, czasem tak. Trudno niekiedy powstrzymać. Tylko powiadam — chłopcy, w miarę i żeby był spokój. Spać potem, nie bałaganić. Nieraz się im ustrzeżesz. Urządzili kiedys zabawę... — Wiem, to tu był ten wypadek ze skopanym pionierem.

Dziadek miał być w Pławidłach na delegacji do 1 stycznia. Jest fachowcem, doświadczonego gospodarzem, on to opowiada mi o gniazdkowym sadzeniu ziemniaków i krzyżowym siewie pszenicy, zastosowanym po raz pierwszy na nadodrzańskich madach. O tym, co tu można uprawiać jak obchodzić się z tą ziemią, kiedy ją i jak orać. Dziadek miał to gospodarstwo puścić w ruch i oddać je młodemu kierownikowi. Pławidła bowiem mają być całkowicie młodzieżowym, pionierskim gospodarstwem. Ale niektórzy pionierzy powiadają: — Jak Dziadek stąd pójdzie, to my za nim...

W Owczarach atmosfera jest chyba najcieplejsza. Złe mieszkania, zła kuchnia, niskie zarobki. Ale przede wszystkim zły stosunek do pionierów. To ich gryzie najwięcej. A że w większości to zetempowcy, — bojowa młodzież — jak powiada cierpliwy ale chowający wszystko za zaciśniętymi zębami, Zbyszek Swoboda — nieraz idzie wszystko udu na udu. Młodzież, skora przecież do radości, chodzi zła, zbuntowana. Jakaż ma być atmosfera, jeśli pionierki i pionierzy nieraz głodni, zmęczeni, rozgoryczeni słyszą takie słowa i zdania:

(dokończenie na str. 8)

NA ZAGROŻONYM ODCINKU

(Dokończenie ze str. 7)

— Mnie ludzie i maszyny nie obchodzą, mnie obchodzi, czy robota jest zrobiona.
— Co tam ludzie? Jak w PGR-ze zdechnie koń, przyjedzie piętnaście taksówek, żeby sprawdzić dlaczego, jak zdechnie człowiek, nikt nie pyta się dlaczego.

— Na skargi, pretensje — bywa — kierownik odpowiada słowami, których dziewczęta nie chcą mi powtórzyć. Naglegam:

— Jakże to słowa, powiedzcie.
Któraś otwiera usta, ale zaciska je z powrotem.

— Nie, nie mogę tego wymówić; — czerwieni się, odwraca głowę. —

A więc tzw. polska łacina. A jedna z dziewcząt to b. kierownik działu kadr w P. R. N. Warszawa-Wawer, druga — kierownik wydziału organizacyjnego Zarządu Dziel. Z.M.P., trzecia — nauczycielka z ukończonym Liceum Pedagogicznym w Warszawie. Teraz dodatkowe lekcje polskiej łaciny otrzymują w Owczarach.

Pesymizm owczarskiej gromady oddaje najlepiej urywek pamiętnika jednej z dziewcząt:

„Niewesoły był wczoraj wieczór w PGR-ze. Co robić dalej? Ala i Celina zaniosły dzisiaj kierownikowi wymówienie z pracy. Gdy leżeliśmy w łóżkach, ktoś zapoczątkował rozmowę:

— Nie przyjechalibyśmy tu jako gospodarze, jako ludzie potrzebni do czegoś, ale jako bydło...
— Czytałaś „Daleko od Moskwy”? Pamiętasz ten 11 zagrożony odcinek, tych ludzi opuszczonych i zaniedbanych, ten rozkład moralny i kierownika...?

— A jak się nazywał ten... jakoś na B? Batmanow.
— Tak, u nas przydałby się taki Batmanow.
— Wydaje mi się, że my tu wszyscy jesteśmy tym 11-ym odcinkiem. Zapomniani i zagrożeni

Ktoś sobie użył:

— Cholera, niedoczekanie ich jak tu ktoś z nas do Nowego Roku zostanie...
Dalszy fragment pamiętnika, oddający rozmowę pionierów, dyktowaną przez chwilę najcięższej gorączki — opuszczam. Zresztą urywek kończy się błyskiem światła:

„W dwa dni odbyło się zebranie partyjne. Na zebraniu był tow. Niedźwiedzi — sekretarz Zespołu Słubice. Pomógł nam, podniósł nas na duchu. Znaleźliśmy swojego Batmanowa?”
Towarzyszu Niedźwiedzi, słyszałam o Was z wielu stron najlepsze słowa. Czy młodzież pegeerowska, mimo waszych licznych zajęć, będzie mogła zawsze o Was mówić — nasz Batmanow?

Młodzież, zwłaszcza na tym trudnym odcinku, musi mieć opiekuna, starszego od nich, doświadczonego, kochającego ją i surowo osadzającego błędy jej i błędy ludzi nad nią postawionych. Człowieka z dużym autorytetem. Nie takiego, który jak dotychczasowy tamtejszy delegat Zarządu Głównego ZMP będzie się interesował przede wszystkim ile pionierzy placą za stołówek, który będzie wpadał na chwilę i z jedną nogą w samochodzie, drugą na progu pionierskiej izby i będzie wołał: „Prędko, mówcie, co tu słychać, bo samochód na mnie czeka”. I nie takiego, który będzie się starał przede wszystkim pomagać władzom zatrzymać jak najwięcej pionierów w PGR-ach, pokrzykując: „Co to za słomiany zapal? Ma zostać! Nie będzie zwolniony! Wy byłbyście narzekali!”

Podpora moralna, ktoś kto we wszystkich trudnych chwilach wskaże młodemu drogę — oto kogo tej młodzieży trzeba przede wszystkim.

Taki człowiek musi mieć wpływ na regulowanie stosunków życiowych pionierów i dbać o dobro materialne, co ważniejsze musi kształtować myśli i serca pionierów. Z dalszego wychowania ich nie można zrezygnować. Młodzież pionierska, która wyszła spod skrzydła matek i ojców, spod ręki nauczyciela, musi mieć prócz droższej, interwencyjnej pomocy Partii i ZMP swoich stałych opiekunów, obdarzonych osobistym autorytetem i pewnym zakresem władzy.

„Proszę o zwolnienie z PGR-u...”

SPRAWA zwalniać się z PGR-u, ucieczek pionierów, nie wygląda tak, jak by chcieli tego rozsiewać wiadomości o całkowitym załamaniu się zaciągu, ani jakby chcieli to widzieć „Optimist-jenkowie”. Z ugorów zespołu słubickiego, mimo ciężkich w poszczególnych gospodarstwach warunków, pouciekały na początku małe grupki. Z Pławideł np. uciekło czterech, z Owczar wyjechało paru po ciepłej odzieży, wróciła część. Myślę, że jeszcze pewna ilość w taki czy inny sposób odpadnie, wykruszą się sami lub uczyni to życie, ale więcej niż połowa może nawet trzy czwarte — zostanie.

Czy wszyscy, którzy uciekli, lub chcą odejść, to „wrogowie klasowi”, a wszyscy, którzy zostaną, to ci „najlepsi z najlepszych”? Zastanówmy się. Naprawdę zostaną ci, którzy jakoś urządzili się z pracą, z zarobkami, z mieszkaniem. I zostaną ci, którzy nie dadzą się złamać trudnością bytową, wierząc w słuszność idei zaciągu, w to, że są tam potrzebni, że ich zawzięta wytrwałość zmieni życie na użyźnionych ziemiach. Zostaną i ci z samotnych, których mimo złych warunków wiąże z zaciągiem uparty honor zetempowski, świecąca nadzieja, że wszystko co złe zmieni się na lepsze, którzy powoli przywykną do nowej pracy i do wysiłku fizycznego. I zostaną ci, którzy się tam pożąją. Oby pozostali także ci, których cierpliwość, woła walki z trudnościami bywa narażana na zbyt wielkie próby. Prośba o zwolnienie to czasem ostateczny gest protestu przeciw złemu traktowaniu i opuszczeniu pionierów.

Jest jednak jeszcze pewna grupa młodzieży, którą wprowadzono w błąd zbyt wielkimi obietnicami, która nie ma przy tym w sobie hartu młodzieży komсомolskiej i przeleżyła się w ocenę swoich sił fizycznych i moralnych. Są jednostki, które do zaciągu pognali owczy pęd: „Jadą inni, pojedą i ja.” Nie upraszczajmy psychiki pionierów, nie róbmy z nich monolitu hartu, woli, bohaterstwa. Pionierem, jak każdej młodzieży, jest właściwa także lekko-myślność. Czy mają z nią latami odpowiadać? Są jeszcze jednostki, których wyjazd do PGR-ów był błędnym posunięciem życiowym, podobnie jak czasem błędny bywa wybór kierunku studiów, wybór rzemiosła, wstąpienie do seminarium duchownego czy małżeństwo. Zewsząd jest możliwość odwrotu.

Niektórzy z pionierów pytają:
— Jak to właściwie jest, jaki długi pobyt tutaj nas obowiązuje? Czy to prawda, że w PGR-ze trzeba być najmniej trzy lata?

Niektórzy nie pamiętają, czy podpisywali umowy, niektórzy nie pamiętają w ogóle, co było w umowach. Niektórzy pragną w przyszłości sposób rozstrząsać się z PGR-ami i z towarzyszami. Nie uciekają. Nie chcą, niejedną się boi.

Pytają:
— Czy to prawda, że jeśli odmówią nam zwolnienia, a odmawiają, i jeśli samemu się wyjedzie, to nas przez milicję i prokuratora sprowadzą? Że nie ma pociągów wracać tam, gdzie się poprzednio pracowało? Że przez trzy lata i tak nie dostanie się pracy w państwowej instytucji? Że każdy, kto zgłosił się na zaciąg musi zostać w PGR-ze do końca życia?

Trudno dowiedzieć się, kto kolportuje te wieści o milicji, o prokuratorze, o wilczych biletach.

Po to aby utrzymać młodzież w PGR-ach, można i trzeba użyć wszelkich metod dozwolonych: ukazywać perspektywy przyszłego życia na wsi, apelować do młodzieńczej ambicji, do sumienia obywatelskiego. Do głębszego zastanowienia się i ofiarności, przekonując młodzież, że po to właśnie Partia i Rząd skierowały ją na ten trudny, aby właśnie ona, pełna zapału, energii i wiary, wydała i prowadziła do końca walkę ze złą gospodarką, z gnuśnością lub nieuczciwością niektórych ludzi, z biurokratyzmem, ze schematyzmem w pojmowaniu przemian ustrojowych i z wszelkim kacykostwem. Można wskazywać, że właśnie te trudności, które młodzież przeżywa, to objawy tej walki. Ale straszenie młodzieży i dławienie słuszej krytyki, nazywanie jej „biadoleniem” lub wręcz „wrogą robotą polityczną” — to nie są metody słuszne.

Najlepiej oczywiście było stworzyć młodzieży odpowiednie warunki życia i pracy — kłóżyć narzekał lub chciał odchodzić. Skoro jednak żywiołowość zaciągu sprawiła, że teren był nieprzygotowany na właściwe przyjęcie pionierów i nie mógł im od razu zapewnić odpowiednich warunków bytowych — trzeba te warunki w widoczny sposób poprawiać, aby młodzież nie tylko słyszała obietnice, ale widziała konkretne fakty. Utrzymać ręce do pracy, utrzymać wartościową młodzież w PGR-ach — źródło zdrowego fermentu w zakisłym nieraz bałgorze, — ależ tak! Ale w atmosferze zdrowej. Tego samego zdania byli w Dyrekcji Zespołu najbardziej rozsądniejsi ludzie, że przytoczę tu nazwiska inspektora Zjednoczenia Gorzowskiego ob. Wiktora Wróbla, czy dyrektora Zespołu Owczarka: „My chcemy utrzymać dobrą, pracowitą młodzież, ale nie chcemy robić z PGR-ów obozów pracy”.

Panowało tam na ogół przekonanie, że w stosunku do pionierów powinna obowiązywać normalna umowa o pracę, jak w stosunku do każdego innego pracownika PGR-u, czyli umowa z dwutygodniowym wypowiedzeniem. Jeśli pionier z uzasadnionych przyczyn chce odejść, jeśli zwróci pobraną zaliczkę 400 złotych, spłaci odzież — trzeba mu dać prawo odejścia. Sama zaobserwowałam przypadek, w którym ten słuszny ideowo pogląd potwierdziło postępowanie wymienionych wyżej ludzi jak również postępowanie sekretarza POP Zespołu, tow. Niedźwiedzkiego.

I zostaną ci, którzy nie dadzą się złamać trudnością bytową, wierząc w słuszność idei zaciągu, w to, że są tam potrzebni, że ich zawzięta wytrwałość zmieni życie na użyźnionych ziemiach. Zostaną i ci z samotnych, których mimo złych warunków wiąże z zaciągiem uparty honor zetempowski, świecąca nadzieja, że wszystko co złe zmieni się na lepsze, którzy powoli przywykną do nowej pracy i do wysiłku fizycznego. I zostaną ci, którzy się tam pożąją. Oby pozostali także ci, których cierpliwość, woła walki z trudnościami bywa narażana na zbyt wielkie próby. Prośba o zwolnienie to czasem ostateczny gest protestu przeciw złemu traktowaniu i opuszczeniu pionierów.

Jest jednak jeszcze pewna grupa młodzieży, którą wprowadzono w błąd zbyt wielkimi obietnicami, która nie ma przy tym w sobie hartu młodzieży komсомolskiej i przeleżyła się w ocenę swoich sił fizycznych i moralnych. Są jednostki, które do zaciągu pognali owczy pęd: „Jadą inni, pojedą i ja.” Nie upraszczajmy psychiki pionierów, nie róbmy z nich monolitu hartu, woli, bohaterstwa. Pionierem, jak każdej młodzieży, jest właściwa także lekko-myślność. Czy mają z nią latami odpowiadać? Są jeszcze jednostki, których wyjazd do PGR-ów był błędnym posunięciem życiowym, podobnie jak czasem błędny bywa wybór kierunku studiów, wybór rzemiosła, wstąpienie do seminarium duchownego czy małżeństwo. Zewsząd jest możliwość odwrotu.

Niektórzy z pionierów pytają:
— Jak to właściwie jest, jaki długi pobyt tutaj nas obowiązuje? Czy to prawda, że w PGR-ze trzeba być najmniej trzy lata?

Niektórzy nie pamiętają, czy podpisywali umowy, niektórzy nie pamiętają w ogóle, co było w umowach. Niektórzy pragną w przyszłości sposób rozstrząsać się z PGR-ami i z towarzyszami. Nie uciekają. Nie chcą, niejedną się boi.

Pytają:
— Czy to prawda, że jeśli odmówią nam zwolnienia, a odmawiają, i jeśli samemu się wyjedzie, to nas przez milicję i prokuratora sprowadzą? Że nie ma pociągów wracać tam, gdzie się poprzednio pracowało? Że przez trzy lata i tak nie dostanie się pracy w państwowej instytucji? Że każdy, kto zgłosił się na zaciąg musi zostać w PGR-ze do końca życia?

Trudno dowiedzieć się, kto kolportuje te wieści o milicji, o prokuratorze, o wilczych biletach.

Po to aby utrzymać młodzież w PGR-ach, można i trzeba użyć wszelkich metod dozwolonych: ukazywać perspektywy przyszłego życia na wsi, apelować do młodzieńczej ambicji, do sumienia obywatelskiego. Do głębszego zastanowienia się i ofiarności, przekonując młodzież, że po to właśnie Partia i Rząd skierowały ją na ten trudny, aby właśnie ona, pełna zapału, energii i wiary, wydała i prowadziła do końca walkę ze złą gospodarką, z gnuśnością lub nieuczciwością niektórych ludzi, z biurokratyzmem, ze schematyzmem w pojmowaniu przemian ustrojowych i z wszelkim kacykostwem. Można wskazywać, że właśnie te trudności, które młodzież przeżywa, to objawy tej walki. Ale straszenie młodzieży i dławienie słuszej krytyki, nazywanie jej „biadoleniem” lub wręcz „wrogą robotą polityczną” — to nie są metody słuszne.

Najlepiej oczywiście było stworzyć młodzieży odpowiednie warunki życia i pracy — kłóżyć narzekał lub chciał odchodzić. Skoro jednak żywiołowość zaciągu sprawiła, że teren był nieprzygotowany na właściwe przyjęcie pionierów i nie mógł im od razu zapewnić odpowiednich warunków bytowych — trzeba te warunki w widoczny sposób poprawiać, aby młodzież nie tylko słyszała obietnice, ale widziała konkretne fakty. Utrzymać ręce do pracy, utrzymać wartościową młodzież w PGR-ach — źródło zdrowego fermentu w zakisłym nieraz bałgorze, — ależ tak! Ale w atmosferze zdrowej. Tego samego zdania byli w Dyrekcji Zespołu najbardziej rozsądniejsi ludzie, że przytoczę tu nazwiska inspektora Zjednoczenia Gorzowskiego ob. Wiktora Wróbla, czy dyrektora Zespołu Owczarka: „My chcemy utrzymać dobrą, pracowitą młodzież, ale nie chcemy robić z PGR-ów obozów pracy”.

Panowało tam na ogół przekonanie, że w stosunku do pionierów powinna obowiązywać normalna umowa o pracę, jak w stosunku do każdego innego pracownika PGR-u, czyli umowa z dwutygodniowym wypowiedzeniem. Jeśli pionier z uzasadnionych przyczyn chce odejść, jeśli zwróci pobraną zaliczkę 400 złotych, spłaci odzież — trzeba mu dać prawo odejścia. Sama zaobserwowałam przypadek, w którym ten słuszny ideowo pogląd potwierdziło postępowanie wymienionych wyżej ludzi jak również postępowanie sekretarza POP Zespołu, tow. Niedźwiedzkiego.

I zostaną ci, którzy nie dadzą się złamać trudnością bytową, wierząc w słuszność idei zaciągu, w to, że są tam potrzebni, że ich zawzięta wytrwałość zmieni życie na użyźnionych ziemiach. Zostaną i ci z samotnych, których mimo złych warunków wiąże z zaciągiem uparty honor zetempowski, świecąca nadzieja, że wszystko co złe zmieni się na lepsze, którzy powoli przywykną do nowej pracy i do wysiłku fizycznego. I zostaną ci, którzy się tam pożąją. Oby pozostali także ci, których cierpliwość, woła walki z trudnościami bywa narażana na zbyt wielkie próby. Prośba o zwolnienie to czasem ostateczny gest protestu przeciw złemu traktowaniu i opuszczeniu pionierów.

Jest jednak jeszcze pewna grupa młodzieży, którą wprowadzono w błąd zbyt wielkimi obietnicami, która nie ma przy tym w sobie hartu młodzieży komсомolskiej i przeleżyła się w ocenę swoich sił fizycznych i moralnych. Są jednostki, które do zaciągu pognali owczy pęd: „Jadą inni, pojedą i ja.” Nie upraszczajmy psychiki pionierów, nie róbmy z nich monolitu hartu, woli, bohaterstwa. Pionierem, jak każdej młodzieży, jest właściwa także lekko-myślność. Czy mają z nią latami odpowiadać? Są jeszcze jednostki, których wyjazd do PGR-ów był błędnym posunięciem życiowym, podobnie jak czasem błędny bywa wybór kierunku studiów, wybór rzemiosła, wstąpienie do seminarium duchownego czy małżeństwo. Zewsząd jest możliwość odwrotu.

Niektórzy z pionierów pytają:
— Jak to właściwie jest, jaki długi pobyt tutaj nas obowiązuje? Czy to prawda, że w PGR-ze trzeba być najmniej trzy lata?

Niektórzy nie pamiętają, czy podpisywali umowy, niektórzy nie pamiętają w ogóle, co było w umowach. Niektórzy pragną w przyszłości sposób rozstrząsać się z PGR-ami i z towarzyszami. Nie uciekają. Nie chcą, niejedną się boi.

Pytają:
— Czy to prawda, że jeśli odmówią nam zwolnienia, a odmawiają, i jeśli samemu się wyjedzie, to nas przez milicję i prokuratora sprowadzą? Że nie ma pociągów wracać tam, gdzie się poprzednio pracowało? Że przez trzy lata i tak nie dostanie się pracy w państwowej instytucji? Że każdy, kto zgłosił się na zaciąg musi zostać w PGR-ze do końca życia?

Trudno dowiedzieć się, kto kolportuje te wieści o milicji, o prokuratorze, o wilczych biletach.

Po to aby utrzymać młodzież w PGR-ach, można i trzeba użyć wszelkich metod dozwolonych: ukazywać perspektywy przyszłego życia na wsi, apelować do młodzieńczej ambicji, do sumienia obywatelskiego. Do głębszego zastanowienia się i ofiarności, przekonując młodzież, że po to właśnie Partia i Rząd skierowały ją na ten trudny, aby właśnie ona, pełna zapału, energii i wiary, wydała i prowadziła do końca walkę ze złą gospodarką, z gnuśnością lub nieuczciwością niektórych ludzi, z biurokratyzmem, ze schematyzmem w pojmowaniu przemian ustrojowych i z wszelkim kacykostwem. Można wskazywać, że właśnie te trudności, które młodzież przeżywa, to objawy tej walki. Ale straszenie młodzieży i dławienie słuszej krytyki, nazywanie jej „biadoleniem” lub wręcz „wrogą robotą polityczną” — to nie są metody słuszne.

Najlepiej oczywiście było stworzyć młodzieży odpowiednie warunki życia i pracy — kłóżyć narzekał lub chciał odchodzić. Skoro jednak żywiołowość zaciągu sprawiła, że teren był nieprzygotowany na właściwe przyjęcie pionierów i nie mógł im od razu zapewnić odpowiednich warunków bytowych — trzeba te warunki w widoczny sposób poprawiać, aby młodzież nie tylko słyszała obietnice, ale widziała konkretne fakty. Utrzymać ręce do pracy, utrzymać wartościową młodzież w PGR-ach — źródło zdrowego fermentu w zakisłym nieraz bałgorze, — ależ tak! Ale w atmosferze zdrowej. Tego samego zdania byli w Dyrekcji Zespołu najbardziej rozsądniejsi ludzie, że przytoczę tu nazwiska inspektora Zjednoczenia Gorzowskiego ob. Wiktora Wróbla, czy dyrektora Zespołu Owczarka: „My chcemy utrzymać dobrą, pracowitą młodzież, ale nie chcemy robić z PGR-ów obozów pracy”.

Panowało tam na ogół przekonanie, że w stosunku do pionierów powinna obowiązywać normalna umowa o pracę, jak w stosunku do każdego innego pracownika PGR-u, czyli umowa z dwutygodniowym wypowiedzeniem. Jeśli pionier z uzasadnionych przyczyn chce odejść, jeśli zwróci pobraną zaliczkę 400 złotych, spłaci odzież — trzeba mu dać prawo odejścia. Sama zaobserwowałam przypadek, w którym ten słuszny ideowo pogląd potwierdziło postępowanie wymienionych wyżej ludzi jak również postępowanie sekretarza POP Zespołu, tow. Niedźwiedzkiego.

I zostaną ci, którzy nie dadzą się złamać trudnością bytową, wierząc w słuszność idei zaciągu, w to, że są tam potrzebni, że ich zawzięta wytrwałość zmieni życie na użyźnionych ziemiach. Zostaną i ci z samotnych, których mimo złych warunków wiąże z zaciągiem uparty honor zetempowski, świecąca nadzieja, że wszystko co złe zmieni się na lepsze, którzy powoli przywykną do nowej pracy i do wysiłku fizycznego. I zostaną ci, którzy się tam pożąją. Oby pozostali także ci, których cierpliwość, woła walki z trudnościami bywa narażana na zbyt wielkie próby. Prośba o zwolnienie to czasem ostateczny gest protestu przeciw złemu traktowaniu i opuszczeniu pionierów.

Jest jednak jeszcze pewna grupa młodzieży, którą wprowadzono w błąd zbyt wielkimi obietnicami, która nie ma przy tym w sobie hartu młodzieży komсомolskiej i przeleżyła się w ocenę swoich sił fizycznych i moralnych. Są jednostki, które do zaciągu pognali owczy pęd: „Jadą inni, pojedą i ja.” Nie upraszczajmy psychiki pionierów, nie róbmy z nich monolitu hartu, woli, bohaterstwa. Pionierem, jak każdej młodzieży, jest właściwa także lekko-myślność. Czy mają z nią latami odpowiadać? Są jeszcze jednostki, których wyjazd do PGR-ów był błędnym posunięciem życiowym, podobnie jak czasem błędny bywa wybór kierunku studiów, wybór rzemiosła, wstąpienie do seminarium duchownego czy małżeństwo. Zewsząd jest możliwość odwrotu.

Niektórzy z pionierów pytają:
— Jak to właściwie jest, jaki długi pobyt tutaj nas obowiązuje? Czy to prawda, że w PGR-ze trzeba być najmniej trzy lata?

Niektórzy nie pamiętają, czy podpisywali umowy, niektórzy nie pamiętają w ogóle, co było w umowach. Niektórzy pragną w przyszłości sposób rozstrząsać się z PGR-ami i z towarzyszami. Nie uciekają. Nie chcą, niejedną się boi.

Pytają:
— Czy to prawda, że jeśli odmówią nam zwolnienia, a odmawiają, i jeśli samemu się wyjedzie, to nas przez milicję i prokuratora sprowadzą? Że nie ma pociągów wracać tam, gdzie się poprzednio pracowało? Że przez trzy lata i tak nie dostanie się pracy w państwowej instytucji? Że każdy, kto zgłosił się na zaciąg musi zostać w PGR-ze do końca życia?

Trudno dowiedzieć się, kto kolportuje te wieści o milicji, o prokuratorze, o wilczych biletach.

Po to aby utrzymać młodzież w PGR-ach, można i trzeba użyć wszelkich metod dozwolonych: ukazywać perspektywy przyszłego życia na wsi, apelować do młodzieńczej ambicji, do sumienia obywatelskiego. Do głębszego zastanowienia się i ofiarności, przekonując młodzież, że po to właśnie Partia i Rząd skierowały ją na ten trudny, aby właśnie ona, pełna zapału, energii i wiary, wydała i prowadziła do końca walkę ze złą gospodarką, z gnuśnością lub nieuczciwością niektórych ludzi, z biurokratyzmem, ze schematyzmem w pojmowaniu przemian ustrojowych i z wszelkim kacykostwem. Można wskazywać, że właśnie te trudności, które młodzież przeżywa, to objawy tej walki. Ale straszenie młodzieży i dławienie słuszej krytyki, nazywanie jej „biadoleniem” lub wręcz „wrogą robotą polityczną” — to nie są metody słuszne.

lu szkolno-harcerskiego dzielnicowego Zarządu ZMP. Na zaciąg zgłosiła się w poczuć ZMP-owskiego obowiązku. Jej pierwszy list z PGR-u, który przypadkiem wpadł mi w ręce i w rezultacie wzbudził we mnie ochotę przyjrzenia się „romantycznej, pięknej i ofiarnej młodzieży”, — był pełen entuzjazmu: „To wszystko jest nasze, moje — pisała o ziemi, na którą przyszła pracować. — Znaleźli się między nami ludzie słabi i źli, ale tym bardziej trzeba dać z siebie wszystko”.

Pionierka Ewa pracowała przy omłotach, potem przy ziemniakach, potem prowadziła przedszkole. Kiedy zjawiała się w Owczarach, pionierka Ewa prześladowała snopki z wozu do stołody, rozgoryczona, że agronom (zwany z powodów backów — Puszkinem) przegnał ją z pola od wyrwania buraków, gdzie zresztą została w tyle. Przy burakach mogła zarobić około 18-tu złotych, czyli w przybliżeniu dwa razy więcej, niż przy owych snopkach. Potem Ewa pomagała w kuchni itd. itd., pełna jak wszyscy wówczas w Owczarach rozgoryczenia na warunki i stosunki w „swoim” PGR-ze.

Pod nieobecność Ewy rozmawiam z Aliną Zawiaślak i Celiną Ulinowicz, przeglądając książki na półce Ewy nad jej węgłami. Poezje Puszkina, „Hamlet”, opowiadania Iwaszkiewicza. Gruby zapisany brulion — pamiętnik Ewy, teczkę z obszerną korespondencją, z której niedawno wyjęła i przeczytała mi, szkoda że nie wysłały do „Trybuny”, list gorzki i wzywający pomocy. W pewnej chwili obie pionierki stwierdzają:

— Ewa to powinna uczyć. Co ona tu robi? Do czego się nie weźmie, to jej nie idzie. Tej gąbki z ziemniakami nie może nawet podziurzyć na wóz, nie ma siły. Ona chce się przemóc, ale nie idzie jej. My też nie jesteśmy Herkulesem, nam też nieraz bardzo ciężko, ale w domu przyzwyczaili się człowiek to i owo zrobić, jakos sobie radzimy. Ona jednak ma zdolności pedagogiczne. Ona powinna iść do szkoły...

— Przecież tu było i ma być przedszkole — powiadam.

— Co to za przedszkole? Przecież to była przechowalnia dzieci, kiedy matki poszły na wykopki, a nie żadne wychowywanie dzieci, czy przygotowanie ich do szkół podstawowych. Powiedz, Celi, co tam Ewa robiła?

— Dzieci były zawzrose, brudne. Ewa lała im spirytus sabadylowy do włosów, myła je, ucieślała nosy. A że nie było dla nich żadnej specjalnej kuchni, to Ewa zabierała resztki z naszej stołówki. No, co my jadamy, to już wiecie. Dorosły tego nieraz nie strawi. Dzieci chorowały na żołądki, brzuszy, Ewa je znowu myła, prała im niajki. Wykopki się skończyły, matki dzieci zabierały. Czy do tego trzeba liceum pedagogicznego?

Myślę o tym, co mi mówią. Przypominam sobie, że przedtem już jeden z robotników, starszy, rozważny, choć gorzki w sądach jak piolun, powiedział do Ewy:

— Zamiast być pożytecznym pracownikiem umysłowym, zrobiłaś z siebie ofiarę pegeerowską.

Będąc w Słubicach, wstępuję do Wydziału Oświaty przy PRN i pytam kierownika, czy Wydział Oświaty ma prawo zatrudniać nauczycieli pionierów.

— Do tej pory nie — odpowiada kierownik — teraz dostaliśmy pismo z Zielonej Góry, według którego pionier po spłaceniu pożyczki może być zatrudniony przez miejscowy Wydział Oświaty. Dobrze się składa — mówię dalej — mam w swoim powiecie 11 urlopów macierzyńskich, mało nauczycieli o pełnych kwalifikacjach. Niech ta pionierka zaraz się zgłosi.

Pionierka się zgłasza. Wydział Oświaty po obejrzeniu jej papierów, jest zadowolony, z Pamięcinia (4 km. od Owczar) odchodzi w drodze awansu kierownik, wykładający język polski i bodaj naukę o konstytucji, a pionierka skończyła liceum pedagogiczne z celującymi stopniami właśnie z tych przedmiotów, poza tem miała bardzo dobre wyniki w prowadzeniu politycznym młodzieży — jako kierownik drużyny harcerskiej. Nauczyciele w Pamięcinie, jeden po siedmiu klasach, drugi po ośmiu klasach, trzeci — kierownik, kończący właśnie zaocznie jedenastą klasę, przyjmują pionierkę z radością:

— To myśmy marzyli, żeby choć kogoś z dziesiątej klasy dostać, a wy z ukończonym liceum i z praktyką i... Może kierownikiem będziecie u nas, nasze najwyższe kwalifikacje.

Pionierka jest młoda, ma lat dziewiętnaście, przyjmuje to jako żart, odmawia. Spotykam ją tego dnia w Pamięcinie, gdzie zresztą jest również PGR., piastuje w rękach podręcznik języka polskiego na siódmą klasę i z bliskim w oczach mówi:

— Mam już na wtorek przygotować lekcję. Ale co za lekcję! „Dziady” Mickiewicza.

I tu zaczyna się cała historia. Delegat Zarządu Głównego ZMP, tow. Kochel, zakłada stanowczy sprzeciw. Dyrekcja Zespołu łącznie z sekretarzem POP Zespołu, tow. Niedźwiedzkim, zgadza się na zwolnienie pionierki z PGR-u w Owczarach do szkoły w Pamięcinie. Tow. Kochel obchodzi jednak wszystkie instytucje w Słubicach, Wydział Oświaty, ZMP i Partię, jak tam przedstawia sprawę — nie wiem, grunt, że koleżankę Zarządu Powiatowy ZMP, potem Komitet Powiatowy PZPR dzwoni do Oświaty, iż pionierki zatrudniać w szkole nie wolno. Przypominając sobie słowa towarzysza Bieruta o tym, że aktywni Partii

powinien pilnie słuchać głosu aktywu społecznego i chcąc na własnej skórze doświadczyć tego, jak wygląda interwencja pisarza w terenie, idę z kolei ja do Komitetu Powiatowego Partii i rozmawiam tam z sekretarzem wydziału propagandy. Pytam, czy naprawdę niemożliwe jest uzyskanie zgody na zatrudnienie tej nauczycielki w Pamięcinie. W odpowiedzi na to dowiaduję się — z czym się w zupełności zgadzam, że Partia chce utrzymać w PGR-ach wszystkich ślusarzy, kowali. Ze wśród pionierów są ludzie i z wyższym wykształceniem, w Zespole Cybinka jest także dwóch nauczycieli.

Próbuję wytłumaczyć specyfikę tej sprawy. Mówię, że przecież funkcja pionierki Ewy w szkole na Ziemach Odzyskanych, w szkole, gdzie ma być jedyna wykwalifikowana siła, gdzie ma uczyć języka polskiego, historii naszej Konstytucji, gdzie ma prowadzić nasze harcerstwo, wychowując 115 dzieci, w tym właśnie dzieci pegeerowców, czyli dzieci tych ludzi, na których przez nie można politycznie oddziaływać — to wszystko znaczy o wiele więcej niż wyrwać buraki.

Otrzymuję odpowiedź, że chcę „złamać” ideę zaciągu pionierskiego.

Odpowiadam:
— Nie złamać. Chciałabym rozszerzyć pojęcie idei zaciągu — z zagospodarowania PGR-ów na zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych w ogóle. Przecież mnie jako pisarza też obowiązuje partyjne widzenie, ale całej sprawy i człowieka. Jej praca w pamięcińskiej szkole ma o wiele większy sens polityczny, niż to co ona robi w Owczarach. Pionierzy przyjechali pomóc nie tylko zarość ziemi, ale pomóc w kulturalnym zagospodarowaniu tych ziem. Nieraz sens polityczny, sens moralny ich przyjazdu jest większy, niż materialny. Czy nie możecie na to spojrzeć mniej sztywno, jakoś... po ludzku? (Nie chciałam użyć słowa — biurokratyzm).

Słyszę odpowiedź:
— Po ludzku? Po ludzku to znaczy — nie. Nie zgadzamy się.

Cóż za paraleta do „Łaźni” Majakowskiego. „Odmówić, odmówić, odmówić...” Pokój jest pełen ludzi, sekretarz wstaje, wstając i ja i ryzykuję jeszcze jedno pytanie.
— Czy nie ma żadnego odwołania od tego orzeczenia?

Towarzysz sekretarz odpowiada, że nie może sam decydować, że musiałby porozumieć się z Komitetem Wojewódzkim w Zielonej Górze. Wtedy podsumowuję myśl:

— Możeby więc nie odmawiać z miejsca, może spróbować napisać do Zielonej Góry, zadzwonić, porozumieć się? Z obietnicą towarzysza sekretarza zadzwonienia do Zielonej Góry i przekazania orzeczenia słubickiemu Wydziałowi Oświaty wychodzę z Komitetu Powiatowego. Wkrótce wyjeżdżam ze Słubice. Dnia 20-go listopada pionierka Ewa otrzymuje z Komitetu Powiatowego telefon, że Komitet Wojewódzki w Zielonej Górze nie zgadza się na jej pracę w szkole w Pamięcinie, ale że sprawę jej popierają wszyscy w Słubicach, nawet delegat ZMP, tow. Kochel (który z początku robił wszystko, aby jej nie wypuścić z Owczar). Niech więc postępuje, jak uważa za słuszne. Pionierce Ewie wydaje się, że wobec jakiegoś ogólnego niezdecydowania jedno jej konkretne posunięcie skończy sprawę i bezsensowne obijanie się jej podają po urzędowych biurkach. Dnia 22 listopada rozpoczyna naukę w Pamięcinie, chodząc do szkoły 4 km. w jedną stronę. Po tygodniu przychodzi do szkoły wiadomość, że Egzekutywa Komitetu Powiatowego zabroniła Wydziałowi Oświaty zatrudnić pionierkę. Wobec tego pionierka Ewa znalazła się znowu w PGR-ze. Tego samego dnia pisać wywołanie z pracy z PGR-u z dniem 15 grudnia. Wywołanie motywuje biurokratycznym stosunkiem władz administracyjnych i bezduśnym stosunkiem przełożonych do pionierów, jako do ludzi pracy. Chce wrócić, o czym dalej zawiadamia mnie — do swojego nauczycielskiego zawodu.

Na tym urwał się mój kontakt z Owczarami. Na wysłaną korespondencję nie mam odpowiedzi. Nie wiem ostatecznie, czy pionierka Ewa jest jeszcze w PGR-ze, czy w Warszawie, czy gdzie indziej. Czy dostała pracę, czy też ściga ją opinia-wilczy bilet, utrzymujący otrzymanie stanowiska w jej zawodzie.

Jeden z brygadzystów powiedział mi kiedyś o pionierkach: „Ależ oni się teraz będą uczyć, jak tu popracują ze dwa trzy lata!” Pionierce Ewie, obdarzonej zdolnościami literackimi, przyda się, jak zresztą wszystkim zetempowcom, którzy jechali tu nauczyć się łamać z trudnościami i lepiej poznać życie, — przyda się ta gorzka lekcja nielukrowanego żywota. Ale szkole w Pamięcinie stała się krzywdą. Została nadal bez wykwalifikowanego nauczyciela.

Oczywiście mogłam sama jechać do Zielonej Góry, przedstawić sprawę ze swego punktu widzenia, ale sprawę trzeba załatwić centralnie, ująć ją głębiej i szerzej, nauczycieli bowiem jest w PGR-ach więcej, jak mi wyjaśnił tow. sekretarz Wydziału Propagandy Komitetu Powiatowego. Niech nauczyciele pionierzy prowadzą świetlice pegeerowskie, ale przede wszystkim niech idą do szkół. Dlatego oto piszę: „Panie Ministrze PGR-ów, Panie Ministrze Oświaty, ape-luję o rozszerzenie pojęcia idei zaciągu pionierskiego. Niech między odgraniczającą PGR od szkoły, gdzie wychowują się dzieci PGR-owców, nie zaleśnią idei zaciągu. Niech weszły prąd życia obejmie nie tylko ugory PGR-ów, ale niech przejdzie przez szkoły, niech zagarnie dzieci, nowe pokolenie, które idee pionierów poniosą — dalej, w przyszłość”.

Tak było...

TAK BYŁO. Życie pionierów, jak wezbrana, jesienna rzeka, płynęło wzburzone i zmaczone. Wieści o nim nie wolno uronić, aby te początki bolesnego nieraz heroizmu nie zostały szybko zapomniane. W owych dniach decydowała się walka o chleb, o przyszłe zbioru, zarazę, walka o to, czy akcja zaciągu wytrzyma próbę życia, czy tak pomyślana emigracja z miasta na wieś powiedzie się dalej. I gdyby ktoś zapytał mnie, jaki jest konkretny rezultat tych zmagani — musiałabym wbrew słowom niektórych starszych pracowników PGR-u („Nie byłoby pionierów, też byśmy robotę zrobili!”) powiedzieć: „Rok rocznie — mówili tamtejsi ludzie — zostawały buraki i ziemniaki nie wybrane z ziemi. Ogromne obszary leżały do tej pory niekulturowe. W tym roku, w połowie listopada — tylko

Wrażenia i konkrety



Książka Jana Huszczy pt. „Wiersze”, wydana w 1951 r., była do- brym sprawozdaniem z piętnastoletniego okresu twórczości poety. Ko- lejne rozdziały książki dają — w zbyt ską- pym co prawda wyborze — przegląd utworów od „Ballady o podróżnym” (1938), poprzez „Pamiętnik liryczny” (1945), aż po wiersze powojenne. Czytelnik widzi, jak kształtowały się charakterystyczne ce- chy tej poezji, ustalała jej oryginalność.

W debiutanckiej „Balladzie o podróż- nym” poeta chętnie jeszcze występo- wał w stroju pożyczonym, zbyt dla nie- go obszernym. Plastyczne obrazy wsi, relacje o konkretnych uczuciach mi- łości, żalu, tęsknoty — przyoblekał często w akcesoria katastrofizmu, rozrachun- ków ostatecznych, metafizycznych uogólnień. Jednak te wpływy literackie, którym tu i ówdzie Huszcza ulegał, wy- raźnie nie pasowały do jego własnego sposobu widzenia świata, zarysowane- go w szeregu wierszy. Torująca sobie dopiero drogę twórczość Huszczy opo- nie asymilowała poetykę symboliczną, styl patosu, nastroje katastrofizmu — odczuwało się ich obcość w wierszach, wywoływały one — w połączeniu z nurtem prostych uczuć, bezpośrednich doznań, wrażenie pretensjonalności. Wyraża granicę biegła w „Balladzie o podróżnym” między sztuczną, kotu- rową pozą poetycką a bezpośrednim, gwałtownym odczuwaniem świata — dziełła pesymizm programowy od re- czywistego smutku. Dalszy rozwój poe- ty — zwłaszcza przeżycia i wiersze wo- jenne — ujawniły krótkotrwłość i po- wierzchność tych wpływów litera- ckich, które towarzyszyły jego debi- towi. Inspiratorką Huszczy była od po- czątku nie literatura, lecz rzeczywistość. Tak więc, już w pierwszym tomiku za- rysowała się charakterystyczna cecha jego poezji: skłonność do konkretnych, plastycznych opisów, nasycające wiersze realiami. Autor „Ballady o podróż- nym” niezręcznie operuje pojęciami, z trudem formułuje uogólnienia — jest za to poetą prostych, jednoznacznych uczuć. Materia poetycka, w której Hu- szcza najwierniej odciska swoje prze- życia, stał się pejzaż. Wiersze przedwo- jenne — takie zwłaszcza, jak „O oj- czyźnie”, „List do wsi”, „W przedwio- sniu”, „Cwecino” — przekazywały czytelnikowi nie tyle może plastyczny obraz wsi, ile jej wnikliwie odczu- tą, dotykającą niemal atmosferę. Przy tym sam dobór elementów pejzażu spełniał w nich często rolę socjalistycznego ko- mentarza.

Obrazy stron rodzinnych stały się w czasie wojny niejako słowami tęskno- ty. Poeta zapisywał wspomnienia — w nich wyrażał całą gamę wzruszeń i pragnień.

„Przez okno zobaczyć siwy
dzień zwiastujący mgłą,
ciemniejącą w płotu pokrzywę
ciasto splecioną z chmielami.

Wilgoć bluszczącą na chmielach
po deszczu, co mżył od rana,
spóźnioną, wrzesniową zielen
pachnącą jak jabłka, jak siano”.

(„Modlitwa o powrót”)

W tym okresie Huszcza wyzwała się spod wpływu obcych jego indywidual- ności poetyk. Wykorzystuje natomiast

wzory wojennej poezji radzieckiej. W prostych wierszach „Pamiętnika liry- cznego” miejsce nastrojów zajmują coraz częściej plastyczne obrazy. Poeta dąży — jak gdyby ze szczególną pieczołow- nością — do dokładnego, wiernego przedstawienia miejsc i rzeczy mu dro- gich. Zanika również pobrzmiewająca dawniej nuta rapsodyczna. Spoza zwro- tek dobiega czasem głos żołnierskiej harmonii. Jednocześnie usiłuje Huszcza określić sens toczącej się wojny („Roc- nik 1923”), pokazać walor moralny bo- haterstwa („Mogila czołgisty — wester- plattowca”). Wspomnienia wojenne będą powracać jeszcze nieraz w twó- rczości Jana Huszczy, ale z kolei, po ro- ku 1945, główne miejsce zajmuje w niej tematyka naszej powojennej rzeczy- wiści.

Oczyszczona w „Pamiętniku liry- cznym” z obcych naleciałości, poetyka Huszczy nie uległa jakiegś zasadniczej zmianie. Powoli, z widoczną uczciwo- ścią wobec tematów, autor wzbogacał ją, dostosowywał do wyrażania nowych treści, rozszerzał zakres swojej poe- tyki wyobraźni. Już rozdział trzeci książki pt. „Wiersze”, obejmujący wła- śnie nową tematykę, pozwala przewi- dywać, że rozwój poezji Huszczy będzie i dalej odbywał się w kierunku wzo- gacania problematyki, doskonalenia środków wyrazu, utrwalania indywi- dualności artystycznej autora. To prze- widywanie spełnia wydany ostatnio obszerny tom wierszy Jana Huszczy pt. „O ludziach i z ludźmi”.

Co zastanawia przy czytaniu tej książki, to jakiś kolorystyczny, „atmosfery polskości”, która otacza większość wierszy. Jest to na pewno jedna z cech określających oryginal- ność oblicza Huszczy. Wydaje się, że ta rodzima atmosfera związana jest ści- śle z pejzażem, który w poetyce Husz- czy odgrywa nadal pierwszorzędna rolę. Elementy pejzażu, dawniej często rozproszone, w nowych wierszach zo- stały podporządkowane prawie malar- skiej konstrukcji. Poeta stara się da- wać opisy widzialne i zamknięte.

„Woda jak lśniaca marszczona
blacha.
U stóp przystani żagłówka czeka,
topocze płótno, wiślana łacha
łozą i piaskiem wabi z daleka.
Na górze domy, kwiaty
i drzewa —
nisko nurt wartki, nad nurtem
mewa”.

(„Notatki z Płocka”)

Albo:

„Mijać gańki w wino błyskach,
parska rano koń podkuty.
Puste świecą kartofliśka,
w chłodach grają tylko druty”.

(„Kartki z kalendarza”)

Jest w tej poezji krajobrazów jakiś trudny do określenia nastrój, który spokrewnia ją z pewnymi wierszami Aleksandra Rymkiewicza. Ostrość, od- krywczość widzenia przyrody powodu- je, że poszczególne elementy obrazów poetyckich — brzoza, księżyc, rżysko — występujące w różnych utworach, za każdym razem pokazane są w „n- nym” profilu, w innym oświetleniu. Przy tym sposób, w jaki poeta przed- stawia konkrety — rzeczy, barwy, dźwięki — jest podporządkowany tre- ściom, które wiersz przekazuje. Dla tego też pejzaż, pełniący u Huszczy

funkcję zasadniczego środka wyrazu poetyckiego, jest tu humanistyczny. W tych krajobrazach mieści się nasza współczesna wieś. O dokonujących się w niej przemianach społecznych mówią liczne wiersze, takie chociażby jak: „Pochwała przeobrażającej się wsi”, „Spotkanie”, „Do traktorzysty”, „W lipcu”, „Odjazd”.

Rozszerzająca się stale tematyka poe- zji Jana Huszczy obejmuje także i mia- sto. Ale tutaj brak jest tej pewności i rozmachu, z jakimi autor kreśli obra- zy wsi. Problematykę miasta poeta po- dejmuje jeszcze jak gdyby z onieśmie- leniem. Zresztą w tym ścisłym tonie wypowiedziany jest „wiersz łódzki”, je- den z najlepszych w książce: „Dzień zimowy, godzina szesnasta”.

Główne niedostatki poezji Huszczy występują tam, gdzie poeta, odchodząc od właściwego mu, plastycznego opisu, stara się dać odautorski komentarz. Sztuczność tych werbalnych uogólnień jest widoczna, razi one swoją obcością w stosunku do malarzkiej materii wiersza. Do słabszych należą również i te utwory, w których autor nie po- kazuje, lecz opowiada, relacjonuje bieg zdarzeń. Właśnie w miejscach, gdzie konkretny obraz wypiera relacja, poja- wia się niebezpieczeństwo prozajizmów.

Np.:

„Przed próg domostwa wychodził
Mazur,
by urzecz wózek i konia z dugu.
W chłopie spod Wilna wyczuł
od razu
przyjaźń dla siebie, miłość
do pluga.

Ale i inni też się zjawiali,
więc chwala, jeśliś był
milicjantem,
a twoją czujność dobrze poznali
weseli ludzie szabru i kantur”.

(„Dzień nasz”)

Charakterystyczne dla wierszy li- rycznych Huszczy jest to, że są one często nasycone humorem. Ten humor, prawie nigdy nie potracający o ironię, zwiększa ładunek optymizmu, potęgu- je atmosferę pogody, przydaje utwo- róm świeżości.

W tomie „O ludziach i z ludźmi” Huszcza dał również dość obszerny przegląd swojej satyry. Poeta atakuje tu wiele spraw i zjawisk — pisze o biurokracji, dygnitarstwie, brakorób- stwie, lakiernictwie. Wyszczuła cytato- logów, wszytkoistycznych prelegen- tów, megalomanów. Huszcza rzadko wybucha gniewem, raczej kpi, często zbyt dobrotliwie. Najwłaściwsze dla tych utworów jest chyba określenie — wiersze żartobliwe. Tak zresztą zatytu- łował autor omawiany rozdział swej książki. Wśród wierszy lirycznych Huszczy niektóre robią wrażenie tek- stu piosenek — w utworach satyrycz- nych ten piosenkowy ton dominuje, o czym stanowi już chociażby skoczna rytmika tych wierszy. Rozdział ten na- suwa przypuszczenie, że autor nie bar- dzo dowierza pojętności czytelnika, wyklada mu za wiele. Stąd nużąca często rozwlekłość. Gorzej, bo w dłu- ższych rozdziałach się również i dowiec.

Wydaje się, że w przyszłości poeta powinien bardziej dynamizować swe żartobliwe opisy sytuacji i zjawisk.

Książka „O ludziach i z ludźmi” ut- wierdza w opinii, że kierunek, w ja- kim dokonywał się — szczególnie szyb- ki w ostatnich latach — rozwój twórc- zości lirycznej autora, był w zasadzie słuszny. Pozwoli mu ona niewątpliwie wnikliwiej niż dotychczas, dostrzec własne błędy.

MIROSLAW OCHOCKI

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Ballada o kapciuchu

(Opowieść starego włókniarza)

Ten kapciuch, co na stółku leży,
Niejedno widział, towarzyszu.
On nie tylko dymek siwy
Mej glinianej fajki krzywej
Widział.

Gdy w piątym roku szedł w pochodzie,
Gwizdnęła kula nieproszona.
Tak mi szelma dogodziła,
Że w dłoń lewą mnie trafiła.
Kula.

Po opatrunku do mieszkania
Przenieśli mnie bojowcy nasi.
Leżąc w łóżku, do kapciucha
Zaglądałem, żeby dmuchać
Dymem na cierpienie.

I był mi wówczas przyjacielem
Mój zany kapciuch, towarzyszu:
Kiedy fajkę zapaliłem.
To o wiele lżej znośiłem
Ból piekący.

Soldaty domy przetrząsali
I nas szukali, towarzyszu.
Jeden żołdat przyszedł do mnie
I myślałem, że już po mnie,
Że już — kreska.

Lecz on karabin w ką postawił
I tak powiedział żołdat do mnie:
„Tyś jest Polak, a ja Ruski,
Ja moskiewski, a ty łódzki,
Towarzyszu.

Gniebi nas obu car — sobaka,
Gniebi jaśniepan — dzierzymorda.
Ty — robotnik, ja — robotnik,
Tyś jest włóknarz, a ja plotnik,
Towarzyszu.

Jak widzę, car nasz nie poskapił
Tobie ołowiu wyborowego.
Ja nie złego ci nie zrobię,
Pójdę sobie, ty leż sobie,
Biedaczysko.

Ty użyż mi machorki tylko
Z kapciucha swego, towarzyszu...”.
Dalem tytoń mu. Zapalił,
Przy tym żdźbiek wąs osmalił
Żołdat — cieśla.

A potem wziął karabin z kąta,
Rzekł: „Do widzenia, towarzyszu”.
I z mieszkania poszedł mego
W siedemnasty rok z piętego,
Towarzyszu.

Wy, Kawa, trzeba to uczciwie powiedzieć — nie była tam najlepsza. O powodzeniu tedy lokalu decydował fakt, iż nań nim właśnie mieściły się we wszystkie wspomniane agendy „Czytelnika” z zarządcom komunikacji autobusowej właśnie. Decydowało prawdopodobnie i coś jeszcze, ale wła- śnie co?

Powodzenie pewnych lokalów należy chyba — mi- mo wszystko — do metafizyki. W każdym bądź ra- zie, nigdy nie da się zaplanować, przewidzieć, ustalić. Nikt przecież z góry nie przewidywał, że cukierka Jana Apolinarego dwójka imion Micha- lika, stonie się z czasem, wbrew ambicjom swego właściciela, ową słynną „Jamę Michalikową”. Chciano w Łodzi — nowiżując do różnych, ze- wsząd przyniesionych, tradycji i wspomnień — stworzyć atrakcyjne wieczory literackie w osławio- nym skądinąd „Klubie Pickwicka” przy Traugutta („Savoy”). Poza kilkoma wypadkami, nie udało się! Próbowano zaistnieć gospoda artystów „Kantypa” (Sienkiewicza 27). Mimo, że uroczą gospodynią by- ła Karolina Lubieńska, doszło do jednego tylko wieczoru z występami autorskimi sotyryków. Pró- bowano stworzyć „cieszący się powodzeniem” ka- baret literacki. Próby skończyły się na ustaleniu nazwy „Paradoks”. Naprawdę, losy tego typu im- prez i instytucji — to niejednen paradoks... Wra- cający więc z powrotem do „Fraski”!

Dziś widać w sposób aż nadto oczywisty, jak właśnie „Fraska” była ściśle związana z życiem kulturalnym tamtych lat: gdy to życie wpłynęło w łódzko bardziej dla naszego miasta naturalne, „Fraska” zaczęła przeżywać kryzys, aż wreszcie z jakichś względów handlowo-dystrybucyjnych (pra- wie zawsze wrogich wszelkiej tradycji) została zlik- widowana, niedobitki z tej kawiarni rozproszyły się po innych, a np. Kazio Grus w ogóle przestał dokądkolwiek uczęszczać.

Dziś z żalem myślę o pewnym istotnym zanied- baniu „Fraski”: nie było tam żadnej księgi pa- miątkowej. Gdyby ją ktoś we właściwym czasie na jednym ze stółków położył, zawieralaby chyba aż nieprawdopodobną ilość nazwisk bardzo znanych i mniej znanych, ale z całej Polski. Zawieralaby prawdopodobnie dowcipy i uwagi, sentencje i po- wiedzonka, rysunki i karykatury, często — rzecz ja- sna — absolutnie nieczczone.

Cóż, nikt z nas wtedy nie wpadł na ten po- myśl!

We „Frascie” odbywały się — te nieoficjalne — narady redakcyjne „Kuźnicy” (z Hertzem, Ja- strunem, Wążykiem, Rudnickim, Bruczem, Brand- sem i in.), którym przewodniczył właściciel silnego organu głosowego, St. Zółkiewski.

Przy innym stółku czekali na swoich autorów i karykaturzystów redaktorzy „Szpilek” — Lec, Pa- sternak, Lipiński.

Przy jeszcze innym skupiali się współpracownicy pism dla dzieci — „Świerszczyka” i „Przyjaciela” — z ukosa patrzący na Brzechwę.

Przy oknie — ba lokalowi zawsze był dość mrocz- ny — czytywał nam swoje najnowsze wiersze Wła- dysław Broniewski.

Zbiarał tu swoich adeptów i swoje adeptyk re- daktor „Wsi”, J. A. Król, zaciekle w owych cza- sach tępiący m. in. niejakiego... Jana Matejkę.

Chętnie do kawiarni zaglądali aktorzy i aktor- ki (jak Bonacka i Szaffarska), przedstawiciele nau- ki i filmu, dziennikarstwa i medycyny.

Tu się też czasem odbywały, pierwsze po latach, okraszane pocałunkami z dubeltówką, spotkania ludzi wracających z różnych tułacek. Asortyment strojów — przeważnie odznaczający się złym sta- nem — był tak obfity, że niejednen Dom Towarowy mógłby go i dziś pozazdrościć (nie z powodu złego stanu, ale z powodu rozmiarów, kolorów i krajów). Miała czasem „Fraska” wygląd wybitnie militarny, ale tylko pozornie: z na- ganami u boku siedzieli repatrianci znad Oki, paeci i dziennikarze, byli oflagowcy (jak St. R. Dobrowolski, K. Rudzki). Chodzono także w wa- ciachach, jak Jan Śpiwacki, oraz w taniutkich kombinezonach, jak arcybiskupowski w swoich wysta- pieniach prof. Janek Kott.

Z „Fraski” wychodziło nieraz na szerszy świat, nabierając znaczenia społecznego, walczące z bzdurą sztyderstwo. A niemato tej bzdury w na- szym mieście było i nie mało jej po dziś dzień tu i ówdzie się tuła! Tu w Łodzi, jednego z pierw- szych tematów do felietonu, dostarczył mi Urząd Propagandy Wojewódzkiej, który wkrótce po wy- zwoleniu na domach, deskach i słupach ogłosze- niowych porzępiał ulotki z następującym cztero- wierszem:

„Nowy powstał urząd łódzki
Propagandy Wojewódzkiej,
który wieść o polskim czynie
rozgłosi aż hen w Berlinie!”

Ciekaw jestem, czy autor(ka) tego utworu do- żeglował w końcu do członkostwa w Zw. Litera- tów, czy też zagubił się po drodze, może ura- dzając się w Łódzkiej Rozgłośni, której pewne audycje aż dotąd czasem ten styl potrosze, przy- pomniają?

...Gdy się pisze wspomnienia, choćby najbar- dziej okruczowe, to zawsze jeszcze raz dotkliwie odczuwa się nieodwołalną już nieobecność ludzi, mijanie czasu (tempus, niestety, fugit). Nie ma wśród żyjących wielu spośród starych i przypad- kowych gości tej nieistniejącej już kawiarni.

Zjawiała się we „Frascie” Zofia Nałkowska. We „Frascie” miałem polączony ze wzruszeniem zaszczyt poznać Juliana Tuwima, gdy przyjeżdżał do rodzinnego miasta po wspomnienia.

Widzieliśmy tam K. I. Gałczyńskiego...

Nie żyją bawiali „Fraski” — satyrycy i dzien- nikarze: St. Krysiak, St. Sojceki, Jan Plotrowski, Przechwał Smolik, T. J. Rolicki.

Bywał tu rusycysta S. Kulakowski.

Nie żyją graficy: stary współpracownik „Mu- chy”, pan z siwą, krótko przyciętą, bródką — Ed- ward Porządkowski; niedawno odszedł T. Trepkow- ski. Nie żyje teoretyk i malarz, Wł. Strzemiński. Zamilkł ostatecznie i za życia dość milezący Wi- tclid Leonhard, o którym krążyła anegdota, od- nosząca się do jego pobytu w Afryce. Zapytywa- ny o swoje wrażenia z pobytu, odpowiadał wyją- kowo lakonicznie: „Afryka? No, cóż: dużo piasku, upały, gotowaliśmy na prymusie”...

Nad dawnym wejściem do „Fraski” pozostał czytelny jeszcze ślad po literach. W środku połą- czonego z sąsiednim pomieszczeniem lokalu mie- ści się duży sklep spożywczy. Poznaję drzwi, unie- ruchomione od wewnątrz solidną, metalową siat- ką. Po wyjściu ze sklepu — do którego wszedłem pod pretekstem kupienia paczki „Sportów” — za- trzymuję się przed dawnym „fraskowym” oknem. W oknie pudełko z kawą „Dobryznka” o „aroma- cie czekoladowym”, puszek z „pasztemem z zaja- ca”...

Naraz to wszystko znika spod oczu, widzę przez oszronioną szybę twarze z tamtych pierw- szych łódzkich lat.

JAN HUSZCZA

JAN HUSZCZA

Łódzka „Jama Michalikowa”

CYBA rok temu — mając nieosobistą, ale związkową sprawę do przedstawienia — za- proponowałem naszemu kierownikowi wy- działu kultury rozmowę w kawiarni. Telefoniczna propozycja spotkała się z ostrą dezaprobatą wól- kiej kawiarni, jako czegoś, co w żadnym wypadku nie mieści się w kategoriach ludzi naszych cza- sów.

Nie jestem, oczywiście, dość czytany i — być może — nie ma żadnej cytaty z Marksa, która by kawiarnię jakoś ideologicznie uzasadniała. Dlate- go z lekkim przystępnym do wspomnień, związanych z pierwszymi, powojennymi latami Łodzi, a umiej- scowionych — ojej! — w kawiarni.

Na wszelki wypadek, już na wstępie chcę za- znaczyć, iż w konstatacji szczególnie podważa- liśmy kawiarni i barów kawowych — był to lokal dość wyjątkowy. Spekulanci i szabrownicy tam się nie pojawiali — może jedynie w pojedynkę i wie- czorami — a dziś, z pewnej perspektywy, śmiało można tę kawiarnię nazwać artystyczną, choć wła- ściwa jej nazwa, wyłoniona z jakiegoś blaskowic- nego konkursu, brzmiała „Fraska”. Istniała ona kilka dobrych lat i niewątpliwie jej egzystencja była wyraźnie związana z przejściowym okresem największego rozkwitu życia kulturalno-artystyczne- go miasta, rozkwitu w zasadzie raczej przypadko- wego, bo spowodowanego sytuacją ówczesnej War- szawy.

Dlaczego „Fraskę” nazwalem „Jamą Michali- kową”? Czyżby było jakieś powołanie dla tej nazwy uzasadnienie? Chyba nie... Inny przecież to czas, inne stosunki, obyczaj i zwyczaje. Mam jednak — po pierwsze — wielki i zawsze żywy sen- tyment dla bojących się szkieł ze zbioru „Znasz li ten kraj”... Po drugie, przez „Fraskę”, w charak- terze klientów pijących kawę (i nie tylko kawę), przeszło mnóstwo przedstawicieli, nieraz najwybit- niejszych, naszej kultury, niejedna istotna dysku- sja tam właśnie zaczynała się lub kończyła, nie- jeden nowy wiersz, artykuł czy opowiadanie tam właśnie znalazły swoich pierwszych słuchaczy i kry- tyków...

Alie może by wprowadzić do tych wspomnień nie- co ładu, czyli zacząć... od początku!

W gmachu przy ul. Piotrkowskiej 96 zaistnował się, po przyjeździe z Lublina, cały „Czytelnik” ze swoimi wszystkimi agendami. Zwiad „Czytelnika” stanowił „Dziennik Łódzki”, który w pierwszej fa- zie swego istnienia wychodził dość krótko, bo do przyjazdu „Rzeczpospolitej”.

Alie zacznijmy jednak... od początku! Otóż wszyscy ściągnęli do „Czytelnika”... Tu mieściły się redakcje pism, tu było wydawnictwo, tu znajdowa- ła się pracownia lalkarska W. Ulanowskiego, tu można było zobaczyć na jednym z pięter przywie- zioną z Lublina, wraz z odpowiednim zespołem, ta- blaczkę z napisem „Redakcja Mathesis Polskiej”, choć pozytywne to pismo — o ile pamiętam — nie ukazało się ani w Lublinie, ani w Łodzi...

Wreszcie niepoohamowane ambicje „Czytelnika”, oraz jego szefa, Borejszy, wkroczyły i na teren konsumpcyjno-gastronomiczny: na próbę powołano do życia spółdzielczą „Fraskę”. Na piętrach pra- cowała się i załatwiano sprawy, a wynikiem w zwią- zku z nimi spory i nieporozumienia przeniesiono na parter, do kawiarni.

Wchodziło się do „Fraski” od razu z bramy na prawo. Był to długi, wąski pokój o jednym, pa- trzącym na ulicę, oknie. W końcu pokoju znaj- dował się bufet i „express”, obok którego scho- dy wiodły do oświetlanego podziemia, gdzie przez pewien czas mieścił się — jako przedsiębior- stwo pomocnicze — bar. Kilkaście stółków — ob- stawionych przez obite jakimś ciemno bordowym rysem fotela — nie zmieniła na lepsze pierwsze- go wrażenia, lokal bowiem wyglądał jak poczekal- nia u dobrze prosperującego adwokata. Zresztą, różni bywalcy z różnych powodów tam właśnie czekali: ten na wydanie swojej nowej książki, ów na korektę artykułu, inny jeszcze na redaktorów, czy też na znajome... Niektórzy doczekali się ogół- nopolskiego uznania!

Jakieś szlachetniejsze piętno nadawały „Fras- ce” chyba tylko rozwiśzione na ścianach, kolo- rowe rysunki samego Zaruby z dowcipnymi dys- tach, zachęcającymi do towarzyskiego picia ka-

ŁÓDŹ LITERACKA

Uwagi o „Łaźni”

DWA LATA temu pewien wybitny publicysta i działacz frontu kulturalnego powiedział wskazując palcem prawej ręki na dłoń lewej: tu mi włosy wyrosną, jeżeli „Łaźnia” będzie kiedykolwiek wystawiona w Polsce. I oto Kazimierz Dejmek zdobył się na tę odwagę, a nikomu jeszcze na skutek tego włosy na dłoni nie wyrosły. Skutek jest tylko ten, że teatr polski wzbogacił się o śmiałość i celne w swym nowatorstwie dzieło, a publicystyka sceniczna otrzymała nabój o potężnym ładunku satyrycznym.

„Łaźnia” jest pamfletem na biurokracizm, to znaczy — na przerosły i wynaturzony wszelkiej biurokracji. Powstały w określonych warunkach czasu i miejsca jako narzędzie doraźnej agitacji, utwór Majakowskiego przemienił się w realistyczną satyrę o walorach powszechnej ważności, satyrę piętnującą biurokracizm gdziekolwiek i kiedykolwiek się rozpleni. Historycznie związany z pierwszym rokiem pierwszej pięciolatki w Związku Radzieckim, utwór Majakowskiego — w ćwierć wieku później — znakomicie odpowiada wymogom naszej walki, w ostatnim roku naszego planu sześciolatniego. „Łaźnia” pomaga nam dzisiaj szorować i prać naszych biurokratów.

Przypomnijmy pokrótce genezę „Łaźni”. W roku 1929 przed młodym, nieokrzesłym jeszcze państwem radzieckim stało zadanie doniosłej wagi: stworzyć aparat administracyjny przystosowany do potrzeb wielkiego planu rekonstrukcji i budowy podwalin socjalizmu. Otóż aparat ten był wówczas, jeszcze za trwania NEP-u, mocno obciążony dziedzictwem przeszłości i nie tylko przeszłości. Aparat ten był, jak i całe ówczesne życie radzieckie, terenem ostrej walki klasowej, zewnętrznej i wewnętrznej, toczącej zarówno między ludźmi, jak i wewnątrz ludzi, w ich świadomości. Na VIII zjeździe Komsołmu tow. Stalin powiedział: „Jednym z najbardziej zaciętych wrogów naszego marszu naprzód jest biurokracizm... Gdyby chodziło tylko o starych biurokratów, walka z biurokracizmem byłaby sprawą bardzo łatwą. Sek w tym, że chodzi nie o starych biurokratów... Biurokrata-komunistę to najbardziej niebezpieczny typ biurokraty. Dlaczego? Dlatego, że maskuje swój biurokracizm mianem członka partii. A takich komunistycznych biurokratów mamy jeszcze, niestety, немало”. Takich właśnie biurokratów pokazuje i demaskuje „Łaźnia”.

Oto „naczdyrdups” Pobiedonosikow, fanfaron, krzykacz, biurokratyczny „samodur”, wygłosił, tchórz i asekurant — choć pewne jego cechy wskazują na to że mógłby być ex-urzędnikiem carskim. Oto sekretarz Optymistienko, czujny cerber urzędu, „urzędnik w futerale”, spec od spławiania petentów. Inną odmianą gatunku jest Iwan Iwanowicz, biurokrata lotny, teczko-wicz i telefonista, facet ze stosunkami, organizator „szerokich kampanii”. Wykpiwając ich swoiste rysy: frazeologiczny kamuflaż, pogardę dla petenta, pozory aktywności, dygnitarską megalomanię, narowy kumoterskie, zapatrzenie we własny pepek — Majakowski trafia jednak w sedno biurokracizmu, wykrywa jego wady organiczne. Są to:

1. Wywyższanie się nad ogół obywateli, tendencja do pojmovania urzędu jako instytucji nadrzędnej i samowystarczalnej.

2. Traktowanie człowieka jako petenta (z podaniem w rękę), a więc jako środka istnienia urzędu, jako rzeczy służącej urzędowi, co jest głęboko sprzeczne z istotą socjalizmu, który traktuje człowieka jako cel. Dejmek doskonale uwydatnił to „urzędowanie” człowieka wprowadzając do kancelarii gramofon z płytą, która mechanicznie oznajmia petentom: „odmówić”. Petentowi-rzeczy odpowiada rzecz — gramofon.

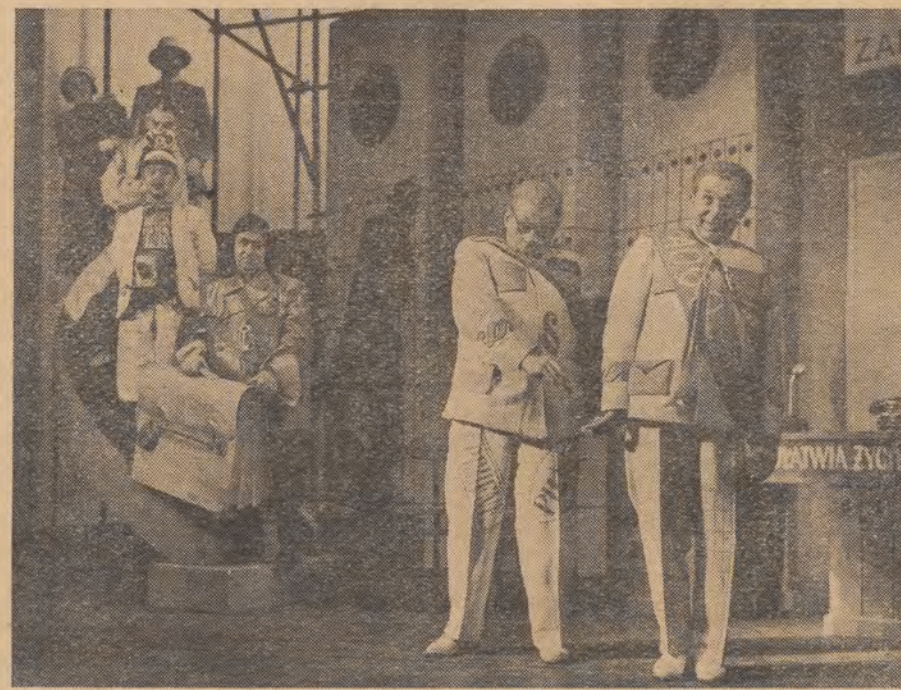
3. Rozwarstwienie klasowe. W świecie biurokracizmu dystans hierarchiczny staje się dystansem społecznym, między dyrektorem Pobiedonosikowem a maszynistką Underton rozwirza się przedział klasowy tym głębszy, że odwrotność do demokratycznych założeń instytucji publicznej. Stąd — czcicielstwo rangi, czolobitność wobec zwierzchników.

4. Oportunizm. Biurokrata-formalista gotów jest służyć każdemu ustrojowi i każdej ideologii, gotów jest przyswoić sobie mechanicznie każdą frazeologię urzędową. Technicyzm uświęcony przez biurokrację burżuazyjną, dla której urzędnik jest fachowcem przydatnym w każdym systemie państwowym („ministrowie przychodzą i odchodzą, urzędnicy zostają”). Pobiedonosikow, szermujący frazesem „robotniczo-chłopskim”, mógłby równie dobrze szermować każdym innym.

5. Optymizm. Biurokrata jest laikiernikiem z natury: dla swej wygody i spokoju, jak i dla przypochlebiania się przełożonym, skłonny jest zamykać oczy na wszelkie trudności, komplikacje i konflikty. Stąd — niechęć do wszystkiego co nowe, rutyniarstwo konserwatywne, samouspokojenie itp.

Wszystko to pokazuje Majakowski w wielkich hiperbolicznych skrótach i w kategoriach akcji scenicznej. Pomijam szereg innych cech biurokracizmu, takich jak:

kich jak: dwutorowa moralność, chciwość, karierowiczostwo, ignorancja, brak czujności. Może tego i za dużo — „Łaźnia” jest na swój sposób wszechstronna, chwilami robi wrażenie plakatów, na którym sfoczonno zbyt wiele postaci i napisów. Tłumaczy się to intencją Majakowskiego, który chciał uczynić z „Łaźni” nie tylko sumę swych dotychczasowych wypadów przeciwko biurokratom, ale i syntetyczne uogólnienie biurokracizmu w planie satyrycznym. Stąd alegoryczność postaci („ożywione tendencje”), bezpośredniość osób polemicznych, nagłość przejść od sceny do sceny, umowność sytuacji. Zbliżamy się do specyfiki walorów artystycznych „Łaźni”.



„Łaźnia” W. Majakowskiego w Teatrze Nowym. Reż. K. Dejmek.

Na pierwszym planie: Janusz Kłosiński — Naczdyrdups, Edward Wichura — Optymistienko

Fot. Fr. Myszkowski

Majakowski nie lubił i nie uznawał szkoły Stanisławskiego, cała jego dramaturgia od „Misterium-Buffera” popocząwszy samą już swą fakturą polemizuje z praktyką MCHAT-u. Dekanizacja form, którą autor „Obłoku w spodniach” głosił i realizował w poezji, charakteryzuje również jego koncepcję teatru. Jest to koncepcja widowiskowa, pojmuje teatr jako trybunę agitacyjno-wychowawczą, z której przemawiać się powinno językiem wizualnych środków wyrazu: plastyką plakatową, zdy-

Tak też pojął te sztukę Kazimierz Dejmek, idąc drogą zasadniczej tendencji Majakowskiego i nawet ją wyprzedzając. Zastosował więc konstrukcję wielopłaszczyznową i porozmieszczał na niej ludzi zgodnie z ideową logiką sztuki; uruchomił na oczach widowni scenę obrotową; wprowadził wzmiarkowaną już gramofon (którego u Majakowskiego nie ma); wciągnął do akcji widownię (zresztą wedle wskazówki autora); odział aktorów w kostiumy alegoryczno-groteskowe; prostymi środka-

JERZY WALEŃCZYK

Dzielnica młodości

Mieszkam w najmłodszej dzielnicy.

Ledwie wykuta, nie opierzona tynkiem

Wśród przypływu fermentujących pól.

Stoki, echo śródmieścia.

Motyl siada na gorące szyny

Wiatr toruje drogę zającem.

Mieszkańcy wychylają się z okien witając,

Całując żonę pod prostym dachem,

Hodując kwiaty i różowe dzieci. Mnie

Aromat smutnej młodości

Wydziela każdy krzew

Każdy chwast;

Stoki.

Na tych uliczkach pasłem krowy wczoraj.

Tu, gdzie latarnia świeci, paliłem ognisko.

Rozwiał je wiatr, rozwiał wiatr.

Tędy wracaliśmy z pola o zmierzchu;

Ktoś zanucił, a ja wybuchnąłem głośnym płaczem.

To było bardzo, bardzo dawno, moje serce.

Czas kij postuszy ściał, wystrugał, wygładził

W zielony ołówek w mojej ręce.

mi uzmysłowił przenosić „maszyny czasu”, która jest pokonującą czas maszyną entuzjazmu klasy robotniczej. Wreszcie figurę reżysera, która w tekście jest dwuznaczna, Dejmek ujednolicił — utożsamiając ją z Majakowskim i powierzając jej wygłoszenie prologu i epilogu skomponowanych ze słów poety. Posunięcie śmiałe i trafne. Rolę tę gra W. Piłarski świetnie, z właściwym Majakowskiemu wyzywającym naporem.

Dwie znakomite kreacje — Janusza Kłosińskiego (Pobiedonosikow) i Edwarda Wichury (Optymistienko) — wybijają się na czoło przedstawienia, zostawiając za sobą daleko w tyle inne role. Postacie wyidealizowane i grupę robotników są blade nie dlatego, że są pozytywne, lecz dlatego, że są niedopracowane: w ekspozycji biorą od razu i niepotrzebnie zbyt szybkie tempo, zamazują dowcipny i ważki tekst Majakowskiego, entuzjazm „nagrywają” nerwową ruchliwością, wreszcie nie mają koniecznych tu cech rosyjskich komosolowców. Nie wiem, czy buchalter Noczkin (Jan Zieliński), jedyny biurokrata pozytywny, powinien być zahukany urzędniczym w lustrzynowych narekawkach. Inne role są grane poprawnie. Posforyczna kobieta, przybysz z komunistycznej przyszłości, nie raz, chwilami nawet uderza żarliwą rzeczością tonu, i to już jest zwycięstwem młodziutkiej Eugenii Herman.

Aby załatwić się z usterkami, powiedzmy, że balet w odsłonie trzeciej jest mdły i niemal zupełnie pozbawiony sarkastycznej ekspresji oryginału, od którego zresztą dość daleko odbiega. Wydaje mi się również, że ogonek petentów jest statyczny i jednostajny, a przecież wbrew biurokratom, traktującym ich jak rekwiizyty, powinni to być żywi, zindywidualizowani ludzie.

Za to Kłosiński i Wichura wznoszą przedstawienie na poziom wielkiej sztuki. Pierwszy w roli Pobiedonosikowa stworzył wspaniałą postać monstrualnego bufona, jakąś zabawną i upiorną mieszaninę Horodniczego i „króla Ubu” z genialnej farsy Alfreda Jarry. Drugi, jako Optymistienko, jest oślizgły i przewrotny, na przemian groźny i podstępnie uległy: biurokratyczny Smerdjakow, który zgaduje skryte życzenia swego szefa i jest jego odwróconym odbiciem. Józef Rachwański zmontował pomysłową i przejrzystą konstrukcję: tudej obiekty biurokratów w upstrzone napisami kostiumy, którym Majakowski na pewno by przyklasnął.

Całość, pełna ruchu i fantastycznej weny, frapuje i porywa odkrywcą wymową ideową i artystyczną. Prapremiera „Łaźni” w naszym kraju, Majakowski po raz pierwszy przemawiający ze sceny polskiej — to poważny krok naprzód ku wielkiej formie teatru naszych rewolucyjnych czasów.

STANISŁAW BRUCZ

ARIADNA DEMKOWSKA

O czym się nie mówi

INTERESUJĄCE spotkania zostają w pamięci, wraca się do nich chętnie, opowiada innym. Ale co to znaczy: interesujące spotkanie? Nie nakarmi, nie nasyci, po prostu — otworzy jakieś ciekawe perspektywy, obudzi nowe pragnienia... Właśnie z takim uczuciem wspominam spotkanie z Teatrem im. Żeromskiego (Kielce — Radom). W zespole tego teatru odbyła się w pierwszych dniach grudnia ub. r. jedna z tradycyjnych narad kwartalnych, poświęcona tym razem sprawie: reżyser-aktor. Naradę zagał dwugłos zaproszonych w Warszawie gości: Bohdana Korzeniowskiego i Jacka Woszczerowicza.

I zagajanie, i dyskusja, jaka potem nastąpiła, celowały w sprawę najistotniejszą: odpowiedzialność aktora. Dzieli on tę odpowiedzialność z reżyserem, stąd też cała praca w teatrze oparta jest na konflikcie aktor-reżyser. Dlaczego ten konflikt jest sprawą wstydliwą, sprawą, o której się nie mówi? Powszechny niemal dotąd brak jednolitego obrazu świata w sztuce teatru był właśnie wynikiem sporu między aktorem i reżyserem. Aktor wnosił swoje widzenie, drugi aktor swoje i świat rozpadał się, sztuce brakowało stylu, zamiast jednolitego wyrazu obserwowaliśmy anarchię estetyczną.

Nasza rewolucja formuje rzeczywistość, odczytując jej prawa uczy się nad nią panować. Teatr nie umie jeszcze uporządkować rzeczywistości i rzucić nią na scenie. Interwencja reżysera w pewnej chwili kończy się, o wygładzie świata na scenie decyduje — mimo wszystko — aktor. Pod adresem aktora wysunął reżyser Korzeniowski ciężki zarzut: małą ciekawość człowieka. „Rana, przez którą wycieka krew z teatru polskiego, jest ubóstwo wiedzy o człowieku, o naszej współczesności”. Obojętność intelektualna, uczuciowa i moralna wobec życia i człowieka, wobec zagadnień własnego warsztatu, sprawia, że nasz teatr jest nieprzydatny, niefunkcjonalny w dzisiejszej rzeczywistości, że widowniom teatralnym brak siły ideowej.

Mała znajomość człowieka? — podjęli aktorzy — zgoda. Ale dlaczego ten zarzut odnosić tylko do aktora? A w czym leży słabość dramaturgi radzieckiej i polskiej? Wiedza o człowieku — oczywiście! Ale jak ją potrafi wykorzystać reżyser? Wiadomo, że nawet z miernym aktorem robi się czasem do-

bry spektakl. Decyduje o tym umiejętność współpracy z aktorem, a tego naszym reżyserom często brakuje.

Starsi dyskutanci wspominali Osterwę, jego niezwykle talent inspirowania aktora, każdego — odmiennym a najważniejszym słowem, pouczenia go raczej anegdotą, porównaniem niż teoretycznym wywodem. Młodzi przyznawali, że polują na role wielkie, bo w nich widzą gwarancję troskliwej uwagi ze strony reżysera, większą dla siebie niż możliwość rozwoju.

Prawdą jest — mówił Woszczerowicz — że praca aktora nad słowem przedstawia się dość słabo. Zawodzi dykcja i nośność głosu, słowo, nawet proste, brzmi czasem niewyraznie, niezrozumiale. Ale na tym odcinku praca reżysera z aktorem też pozostawia wiele do życzenia. Żąda się od aktora, aby widział to, co mówił. Od tego czasem mu oczy na wierzch wylażą — bez skutku... Przecież mówi przede wszystkim, by „przekazać” i dopiero w tym procesie wraz z widzem ujrzy rzecz określoną słowem.

Obserwujemy u reżyserów dużą skłonność do komenderowania, a jednocześnie — brak uporu, aby dojść do pełnego rezultatu w skomponowanym przez siebie spektaklu. Nie omawia się spektaklu, który już idzie, jeśli się psuje — macha się na to ręką. Słowem: coż pomoże aktorska wiedza o człowieku, jeśli jest ona w rękach reżysera narzędziem zupełnie czasami niewykorzystanym!

Narada kielecka przewentylowała dość dokładnie sprawę, o której się nie mówi, sprawę konfliktu między aktorem i reżyserem. Można by wnioski tej narady podsumować mniej więcej tak:

Różnica zdań między aktorem i reżyserem nie jest katastrofą, jeśli obie strony zdają sobie sprawę, czemu służą. Osterwa i Stanisławski mawiali: „Służba sztuce”. Może i słusznie, bo się w ten sposób odgrądzali od filisterstwa, od karierowiczów, łowców odznaczeń i nagród. Niestety, dziś wielu ludzi w teatrze w ogóle nie wie, czemu służy.

Różnica zdań między aktorem i reżyserem może powstać na płaszczyźnie poglądów politycznych i artystycznych. Sprawę pierwszą można uważać za załatwioną, choć czasem — tylko oficjalnie. „Nawet prób z Kiedrzyńskie-

go przed wojną nie robiono z taką zimną obojętnością, jak ostatnio w Warszawie z „Człowieka z karabinem”. Gdzież tu szczerze postawy polityczne!” Tę gorzką uwagę Woszczerowicza na pewno można odnieść i do innych zespołów.

W sprawie drugiej dyskutanci stwierdzili, że system Stanisławskiego, który uważamy za podstawę naszych poglądów o socjalistycznym realizmie w teatrze, jest często pojmovany bardzo powierzchownie, błędnie komentowany w pokątnych plotkach. Stosunek do niego bywa też nieszczerzy. Młodzień przyznają, że ze szkoły wynosi o tym systemie wyobrażenia mętne i powierzone. Dlatego zapominają się, że praca naszych wielkich aktorów to było właśnie wcielanie zasad Stanisławskiego?

Istnieje pewna niedobra tradycja w polskim teatrze: zjeżdżać nawet z daleka na dyskusje o sprawach organizacyjnych, materialnych. Narada kielecka miała inny ton, chyba ten najważniejszy. Odbiła się ona w skromnym zespole tzw. teatru prowincjonalnego, wyprzedzając o kilka dni ostatnią Radę Kultury i Sztuki w Warszawie. Ale można by naradę kielecką i jej odważne mówienie o tym, o czym się nie mówi, uważać za odpowiedź na decyzję wielkiej Rady. Podobna odpowiedź powinna zabrznieć we wszystkich zespołach teatralnych, skoro każdy z nich ma się teraz stać „nieoportunym gospodarzem swej twórczości, swej działalności, swego życia...”. Na progu wielkich, zasadniczych zmian zespoły teatralne muszą wiele swoich spraw uporządkować i wzór narady kieleckiej, znamiennej zresztą dla praktyki tego teatru! — jest chyba dobrym wzorem.

„Oblicze teatru” to ulubiony, choć bardzo niewiele mówiący slogan ostatnich czasów. Myślę, że oblicze teatru, jak oblicze człowieka, jest przede wszystkim odbiciem jego wewnętrznego życia. „Oblicze” zespołu teatralnego spóją i wyrzeźbią w jakiś jednolity i interesujący kształt nie uśmiechy pojedynczych sukcesów, ani łyzy przemijających kłesk, ani świeżość pozycji repertuarowej, lecz tylko wspólna, niegasnąca pasja twórcza, nieustający wysiłek kształcenia się, poznawania świata i jego formowania, zmieniania. A można to czynić na wiele różnych sposobów i stąd przekonanie, że każdy

zespół może mieć odmienne, zupełnie własne „oblicze”.

Przysłuchując się naradzie kieleckiej usiłowałam w pewnej chwili uzmysłwić sobie „oblicze” naszych łódzkich teatrów dramatycznych. Może to sprawiła odległość, ale zobaczyłam je nagle jako trzy wyspy w ogromnym morzu miasta. Blask bijący od tych wysp, blask dobrych albo bardzo dobrych przedstawień, rzucił niewielki krąg światła na ogromny przestwór wód... Skończył się metaforą. Gdy poruszymy i na naszym terenie „sprawy, o których się nie mówi” (a chyba to zrobimy niebawem?), co powinno pójść na pierwszy ogień? Myślę, że sprawa widza, sprawa środowiska.

Łódź ma pół miliona mieszkańców i nie pozwoli się nazwać prowincją. Z drugiej zaś strony — wiadomo, że to półmilionowe środowisko, przeważnie robotnicze, ma dość niską tradycję teatralną, że na wydarzenia teatralne reaguje dość głucho. Wydaje się, iż teatry nasze mają wszystkie ambicje — prócz jednej: walczyć o swoje środowisko. Rdzeniem tego środowiska, podstawowym widzem, jest, a przynajmniej powinien być robotnik. O tego widza wciąż trzeba walczyć, trzeba mu wychodzić na spotkanie, działać na niego kulturą teatralną również poza murami teatru albo też w murach — poza spektaklem. Jak?!

To jedno pytanie starczyłoby oczywiście na temat całej narady, a w każdym razie — oddzielnego artykułu. Teatr im. Żeromskiego (Kielce — Radom) na to pytanie znajduje w swojej dwuletniej praktyce bardzo szczęśliwe odpowiedzi, o czym ostatnio głośno było w pismach („Życie Literackie”, „Teatr”). A jak wyglądają kontakty naszych teatrów z wielkimi zakładami przemysłowymi, ze świątlicami, z młodzieżą? Dość stwierdzić tymczasem, że były już jakieś próby, są pewne doświadczenia, wzory nasze i obce, wreszcie — znajdzie się na pewno na naszych trzech wyspach dość świeżej inwencji. Trzeba ją zmobilizować. Powołać do życia komunikację między wyspami, bo nawet zgodnie i wspólnie działające siły naszych trzech teatrów nie od razu i nie w pełni zdołają ożywić, wykształcić i porwać za sobą ogromną masę tego „podstawowego widza”. A przecież — właśnie dla niego istnieje.

ARIADNA DEMKOWSKA

Dwa wieki portretu polskiego

PREŻYWAMY dziś w sztuce nowy zwrot ku rzeczywistości i nowe zainteresowanie człowiekiem. Ponadto żyjemy w czasach niezwykłych i niejednego plastyka musi kusić zadanie utrwalenia rysów wybitnych ludzi naszej epoki. W związku z tym nie tylko aktualne, ale wręcz palące staje się dla nas znowu zagadnienie portretu — artystycznego ujęcia pewnie określonej rzeczywistej jednostki ludzkiej. O nowym zacieśnieniu portretu świadczą poświęcone mu prace powojenne uczonych polskich, z pionierskim dziełem Tadeusza Dobrowolskiego „Polskie malarstwo portretowe”, na czele. Świadczą o nim również organizowane w ubiegłych latach pokazy — wystawa „Portret polski XVII i XVIII wieku” w Tarnowie w roku 1947, wystawa pod tymże tytułem w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu w r. 1948 i „Wystawa retrospektywna portretu polskiego w okresie od 1854 do 1954 r.” Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie w roku bieżącym. Obecnie przyłącza się do nich wystawa „Dwa wieki portretu polskiego” w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Wystawa obejmuje 111 obrazów, przeważnie olejnych, rozmieszczonych w 9 salach. Trzon jej stanowią okazy Muzeum Łódzkiego. Uzupełniono je dziełami z Muzeum Narodowego oraz ze zbiorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, z Muzeum Narodowego w Poznaniu i Muzeum Śląskiego we Wrocławiu. Zaledwie drobna część eksponatów pochodzi z kolekcji prywatnych.

Wystawę otwiera bardzo interesujący zespół tzw. „portretów sarmackich”, przeważnie portretów rodzinnych Lubomirskich i Kruszyńskich, z pałacu Lubomirskich w Kruszyńce pod Częstochową. Mianem „portretów sarmackich” określamy od pewnego czasu portrety polskie XVII i XVIII wieku, wykonywane przez malarzy rodzinnych, mieszczań, zorganizowanych w miejskich cechach rzemieślniczych, przedstawiające zaś magnaterię i średnią szlachtę. Portrety sarmackie, zwłaszcza portrety magnatów piastujących wysokie urzędy państwowe lub kościelne, nie tylko zaspokajały próżność jednostki i pychę rodową, ale nadto budowały i wzbudzały w społeczeństwie postać i wizerunek, przesyłając w sposób niemal brutalny przesłanie o niezmiennym wyższości stanu szlacheckiego nad wszystkimi stanami innymi. Spełniały one w ten sposób ważną funkcję propagandową, przyczyniały się do utrwalenia istniejącego ustroju — feudalnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. W stylu konterfektów sarmackich łączy się ze sobą w sposób swoisty pierwiastki polskiego średniowiecznego malarstwa cechowego — rola przewodnia linii, płaskie, ornamentale traktowanie stroju, dekoracyjna harmonia wielkich, żywych plam barwnych, pedantycznie dokładne odwzorowanie szczegółów ubioru, klejnotów i oznak, jednostajność i umiarkowanie postawy i tła — ze zdobyczami nowożytnego malarstwa zachodniego — brylowatym modelunkiem głowy, ostrą indywidualizacją rysów twarzy i jedynym, niekiedy wręcz drastycznym realizmem w ich oddaniu. W porównaniu z portretami typu zachodniego — flamandzkiego, holenderskiego lub francuskiego — tworzonymi w tym czasie przez malarzy nadwornych, przeważnie cudzoziemców, portrety sarmackie są nierzadko nieudolne, „prymitywne”. Mają one jednak niezaprzeczone piętno odrębności narodowej i na tym polega ich urok.

Niesposób omawiać wszystkich pozycji znajdujących się na wystawie zespołu konterfektów sarmackich. Chciałbym zwrócić uwagę przynajmniej na dwa obiekty: na powstały około r. 1760 portret Wacława Rzewuskiego, wojewody krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego w czerwonym kontusz i białej wstędze orderu Orła Białego, z buławą w prawej ręce i lewą dumnie opartą na biodrze, niejako klasyczny przykład portretu magnackiego, i na pochodzący również z drugiej połowy XVIII wieku wizerunek przedstawiciela średniej szlachty, Ignacego Lipskiego. Nad walcowatym tułowiem, opiętym w biały żupan i niebieski kontusz, wznosi się tu baniasz głowy z podgoloną czupryną, o wieprzowato — różowej twarzy, przekrwionych białkami błękitnych oczu i obwisłym podbródkiem. Jest to próbka drastycznego realizmu niektórych konterfektów sarmackich.

Następna sala jest poświęcona portretowi z Stanisława Augusta. Jest to, jak wiadomo, okres rozpoczynającego się rozkładu ustroju feudalnego i kształtowania się początków gospodarki kapitalistycznej, okres ożywienia gospodarczego i kulturalnego, wiek Polskiego Oświecenia. Portret typu zachodniego wypiera teraz przeżywający się coraz bardziej portret sarmacki. Ale utrzymuje się on jeszcze przy życiu. Na wystawie reprezentują go pełna wdzięku bezimienna „Dama z różką” i pokrewny utworom Józefa Paworskiego, ciekawy wizerunek kobiety o wysoko upiętej fryzurze, ozdobionej kwiatami i piórami, kredowo białej twarzy, ciemnych oczach i cienkich bezkrwistych wargach. Portret typu zachodniego reprezentują natomiast podobizny męskie i kobiece Bacciarellego, Lampiego i Wojniakowskiego. Na uwagę zasługują wśród nich zwłaszcza podobizny patriotów i działaczy z okresu Sejmu Czteroletniego — Bacciarellego wizerunek Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmiku, trzymającego w ręku zwój papieru z napisem łacińskim „Konstytucja z dnia 3 maja 1791”, i Lampiego portret Kajetana Sołtyka.

Dalsze sale ukazują portret mieszczański pierwszej połowy XIX wieku, najpierw klasycystyczny i romantyczny, później realistyczny. Dwa troche drewniane, lecz dosadne w charakterystyce konterfektu sędziów z pierwszych lat Królestwa Kongresowego (ze zbiorów prywatnych), obu w mundurze i przy szabli, świadczą, że tradycje portretu sarmackiego nie wygasły jeszcze całkiem w początki wieku XIX. Ale konterfektu tego rodzaju należą w tym czasie już do rzadkości. Nowy portret mieszczański, zwłaszcza w swej realistycznej postaci, podkreśla w modelu nie szlachetne pochodzenie i wysokie stanowisko w hierarchii urzędniczej lub kościelnej, nie wytworność i elegancję, lecz przymioty umysłowe i moralne — inteligencję, energię, wytrwałość.

Pewną niespodzianką jest tu Rafała Hadziewicza, naogół silnie jeszcze tkwiącego w szablach klasycystycznych, portret profesora Wszechnicy Jagiellońskiej G. Daniłowicza — subtelna głowa uczonego o siwych włosach i jasnoniebieskich oczach. Inną niespodzianką jest Romana Postempskiego portret generała K. Różyckiego. Postempski był przez dawniejszych polskich historyków sztuki, np. przez Jerzego Mścielskiego, traktowany w sposób raczej lekceważący. Czy przyczyną tego pomniejszenia malarza przez uczonych konserwatywnych nie należy szukać w jego radykalnych poglądach społecznych i sympatiach dla ruchów wolnościowych? Tak czy inaczej, portret Różyckiego, mężczyzny w średnim wieku o poważnym i skupionym wyrazie twarzy, w czarnym surducie, na jednolitym oliwkowym tle, zaskakuje żywością charakterystyki, prostotą kompozycji, oszczędnością linii i plam barwnych. Odkrytego niedawno portreciście mieszczańskim i ziemianstwu wielkopolskiego, Ed. Gillerna, czynnego w Poznaniu w latach 1820 — 1844, ukazuje z najlepszej strony wizerunek pułkownika Stanisława



Malarz nieznan. „Dama z różką”
Druga połowa XVIII w.
Łódź, Muzeum Sztuki

Ponińskiego (w podpisie pod obrazem awansowanego na generała), dyrektora Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego Poznańskiego. Mimo niedociągnięć rysunkowych i pewnej „porcelanowości” twarzy modela portret ten wyróżnia się jedyną charakterystyką i świetnie, z wybitnym poczuciem koloru malowanymi szczegółami stroju.

Mniej szczęśliwie wypadł zespół następny, któremu dano miano „Portretu historycznego i monumentalnego”. O Matejce jako portreciście nader niedostateczne pojęcie daje tutaj portret syna artysty na koniu i studium głowy Leonarda Serafińskiego.

Na uznanie zasługuje natomiast ukazanie kilku portretów chłopskich ze środka i drugiej połowy XIX wieku: Piotra Michałowskiego „Głowy dziecka”, Andrzeja Grabowskiego portretu „Wojta spod Krakowa” — w kapeluszu, białej sukmanie z czerwonym kołnierzem i z laską, oznaką godności wójtowej w ręce, na tle pasieki (1874) oraz Witolda Pruszkowskiego „Głowy rybaka” (szkoda, że nie zgrupowano ich razem).

Osobną salę poświęcono „szkole monachijskiej”. Zestawiono w niej portrety malarzy polskich, którzy kształcili się w Monachium w ostatniej ćwierci XIX wieku. Łączy ich ze sobą pewien rys negatywny — nieważność na barwę. Sala przynębia wręcz ponurym kolorytem większości płócien, przewaga czerni i brązów. Jako pozytywna dodatnia pozostaje tu szczególnie w pamięci Wojciecha Weissa wzrusza-

jący portret rodziców — dwoje starych ludzi, splecionych ze sobą dłońmi.

Dalsze sale są poświęcone portretom z końca XIX i początku XX wieku, z zakresu kapitalizmu monopolistycznego. Jest rzeczą godną uwagi, że podczas gdy w tym okresie na Zachodzie portret wszedł już wyraźnie w fazę upadku, w Polsce, podobnie jak w Rosji i Czechach, zachowuje on jeszcze swą żywotność. Świadczy o niej też szereg znajdujących się na wystawie podobizn Wyczółkowskiego, (Pankiewicza, Boznańskiej. Piękny jest zwłaszcza autoportret Boznańskiej — w czarnej bluzce zapiętej po szyję, pogrążonej w zadumie, ze smutnymi bluszczymi oczyma.

Sala ostatnia ukazuje na kilku przykładach upadek portretu w okresie międzywojennym i wizerunków, powstałych w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej.

Wystawa ma kilka dotkliwych luk.

HENRYK ANDERS

Granice eksperymentu

NA SKUTEK stopniowego rozrastania się w świadomości artystów (i nie tylko artystów) zakresu pojęcia realizmu socjalistycznego, twórczość ostatniego okresu wzbogaciła się wydatnie. Odrzucenie kanonu czystej ilustracyjności, uznanie prawa do indywidualnego wyrazu, prawa do eksperymentu, przyniosło ciekawe próby określenia własnego, osobistego stosunku do rzeczywistości. Hasłem dnia dzisiejszego stało się nowatorstwo w najlepszym sensie tego słowa — nie pseudonowatorstwo formalistycznych sensacji, lecz twórcze poszukiwanie nowych dróg, nowych sposobów odzwierciedlania wszechstronnego i narastającego bogactwa naszej współczesności.

Przed twórcami otwarło się rozległe pole działania, poszerzona skala problemów ideowo-artystycznych: od patosu wizji historycznych i dramatu ludzkiego po lirykę intymnych nastrojów — artyści wszelkich temperamentów i u podobną znajdującą możliwość ukazania tego, co rzeczywiście czują i przeżywają.

Praktyka — niespotykana dotąd frekwencja na IX Okręgowej Wystawie Plastyków w parku Sienkiewicza — potwierdza raz jeszcze słusność tezy, że publiczność miała już dość nieprzetrawionych, wykonanych a priori deklaracji. Prace tego typu można w tej chwili policzyć na palcach. Z większości wystawionych dzieł bije szczerość, która trafia widza do przekonania, wywołuje należyty odzew.

Przebieżył owej szczerości można zauważyć w pracach opartych na zadaniu „starej, dobrej szkoły”, w silniejszym jednak stopniu występują u nowatorów, nie lekających się eksperymentu. Fakt ten napawa optymizmem i poczytywany być może za pozytywne osiągnięcie wystawy; z drugiej strony wydaje się, że nie wszystkie poczynania zasługują w pełni na aplauz — niektórzy artyści zapędzają się w pobliże strefy niebezpieczeństwa.

Istnieją bowiem naturalne granice eksperymentu. Dla przykładu — zasada poznawalności świata nie dopuszcza jednostronnej interpretacji zjawisk, o partej wyłącznie na ilustrowaniu stanów uczuciowych twórcy, a więc obiektywnie niesprawdzałnej, wykraczającej poza kategorie logicznego rozumowania. Można wprawdzie próbować wczuć się w nastrój autora i szukać odpowiednich wzruszeń, dając to nawet zadowolenie, ale fakt pozostaje faktem: rzeczywistość sprowadza się w ten sposób do wewnętrznych doznań ze wszystkimi groźnymi konsekwencjami. Krok stał tylko do malarstwa abstrakcyjnego: jeżeli już w założeniu chce się wyrazić własne stany uczuciowe, nie ma potrzeby posługiwania się elementami natury, wystarczy czyste układy form i plam barwnych.

Z podobnych założeń, wspieranych pozostałościami postimpresjonistycznego myślenia, wyrosła twórczość najwybitniejszego tu i może najbardziej umiarkowanego Byrskiego oraz całej plejady młodych malarzy i grafików. Dzieła te nie dają definicji świata widzialnego, tego, o co starają się wszelkiego pokroju „konstruktywiści”: Głowacki, Lubniewicz, Sadowski i inni. Dzieła te nie oddają również narzuconych przez ów świat wrażeń, jak to widzimy u Mackiewicza, Poduski, Romana, Siedlanowskiego, dzieła te po prostu nie są odbiciem rzeczywistości, lecz wyrazem stosunku autora do rzeczywistości. W tym kryje się ich odmiennosc, ich nieuchwytny urok, a równocześnie słabość. Dzieła takie mogą się tylko podobać; nie mają obiektywnych kryteriów oceny wśród reagujących uczuciowo, ale nie odbiera podniecie do własnej, rozumowej interpretacji pokazanych zjawisk. Zatraca się poznawcza funkcja sztuki.

Myślę, że nie wolno rezygnować ze szczerej, wrażliwej postawy uczucio-

wej, jest to zbyt cenny wkład twórców, trzeba jednak odwrócić założenie. Nie szukajmy w życiu potwierdzenia naszych wewnętrznych nastrojów, odwrotnie — bodziec powinien wychodzić od natury.

Tak nieporównywalni ze sobą Krawczyk, Nowosielski i Zagańczyk usiłują zespolic w swej twórczości dwa nurty: pragnienie odtworzenia własnych stanów psychicznych oraz zmysł konstrukcji. Krawczyk szuka przy tym form delikatnych i wykwintnych, Nowosielski lubuje się w świadomości prymitywizacji lapidarności, Zagańczyk wybiera rozwiązania dekoracyjne — wypowiada się przy pomocy wyrazistych, lecz wyszukanych zestawień. We wszystkim tym jest dążenie do prawdy, ale raczej prawdy własnego „ja”.

Plakatowa dobitność obrazu Kunka „Nocleg w metro paryskim” wywołuje wrażenie mocne, ale krótkotrwałe. Działo tu głównie temat sam w sobie wzruszający, treść jest tylko zasygnalizowana, formułowanie jej pozostawia się inteligencji widza, który ze skojarzeń myślowych ma wyciągnąć odpowiednie wnioski. Pozornie wszystko jest w porządku, przeciwstawione „opatologii” niedopowiedzenie pobudzające ludzi do myślenia mogłoby zwiększyć wartość dzieła, nadmierna jednak wstrząsliwość autora zubaża sam problem, nie stwarza podstaw do refleksji.

Wydaje się, że zaobserwowane zjawisko zafrapowało i oburzyło malarza, protest swój wyraził na gorąco, impulsywnie, w bezpośredniej realizacji nie poprzedzonej krytyczną analizą. Celowa prostota formy świadczy bowiem, że nie chodziło o czyste optyczne zainteresowanie egzotyką zjawiska. Wybór bohaterów mówi dalej, że Kunka nie ogranicza się do protestu przeciw ogólnikowo pojętej krzywdzie społecznej — tragedii bezdomnych — że piętnuje dyskryminację rasową. Ale na tym doświadczeniu popiera się i sens polityczny dzieła słabnie. Motyw ma zapewne symbolizować zakłamanie oraz wpływy amerykańskiego imperializmu, nie tłumaczy się jednak wyraźnie; jako środek oddziaływania na zasadzie kontrastu wyeksponowany jest zbyt słabo. Forma obrazu, jak podkreśliłem, jest nadzwyczaj prosta, niespodziewanie jednak zawodzi. Ubóstwo środków pozostawia tylko ogólne wrażenie, nie podsuwa niczego do rozpamiętywania, do kontemplacji.

Choć, moim zdaniem, nieudana, próba jest śmiała i ciekawa. Siła i niebanalna świeżość dzieła wroży, iż kontynuując swą drogę autor dojdzie do wyników nieprzeciętnych, obrazów pogłębionych treściowo, a równie mocnych w wyrazie. Złazsca się inne wystawione prace artysty zdają się to zapowiadać.

Nie przypadkiem w sąsiedztwie z obrazem Kunka znalazła się rzeźba Szadkowskiego. W deformacji, w łamaniu bryły dla wydobycia ekspresji poszczególnych partii głowy widać analogiczne poszukiwanie silnego wyrazu. Twórca świadomie przekracza Rubikon akademickiej poprawności, chyba jednak zapędza się za daleko. Znowu stoimy tu o krok od całkowitego zagubienia formy rzeźbiarskiej, zbliżamy się do granic sztuki abstrakcyjnej.

Z odmiennych i prawdopodobnie szlusznych założeń wychodzą twórcy obrazu „Matejko” — Modzelewski i Pi-

Wystawę słusznie doprowadzono do współczesności, zakończono pokazem portretu pierwszego dziesięciolecia Polski Ludowej. Ale dzieła tutaj ukazane zostały wybrane nienajszczęśliwiej. Niektóre z nich są typowe raczej dla okresu przedwzrostu.

Umieszczone w poszczególnych salach objaśnienia pozostawiają wiele do życzenia pod względem przystępności i zrozumiałości.

Mimo podkreślonej fragmentaryczności pokazu i niedociągnięć w jego urzędzeniu, wystawę należy zapisać na dobro Muzeum. Wydobywa ona w wielkich zarysach główne fazy polskiego portretu malarstwa od okresu feudalnej Rzeczypospolitej szlacheckiej do współczesności. Dostarcza bogatego materiału do spostrzeżeń i rozważań nad tą fascynującą dziedziną sztuki, jaką jest portret. Może też dać ona niejedną cenną podnetę malarzom naszym, którzy pragną utrwalic rysy wybitnych ludzi naszej epoki i w sztuce swej usiłują nawiązać do tradycji narodowej w dziedzinie portretu.

Muzeum Sztuki powinno urządzać jak najczęstsze wystawy tego rodzaju.

MIECZYSLAW WALLIS



Sanitariuszka

K. Moczowski

jałkowski. Intencją ich jest wygranie kontrastu między nikłością postaci mistrza a fizycznym i moralnym ogromem jego dzieła. Posługują się przy tym starannie przemyślaną budową kompozycji, troszczą się o koncentrację uwagi widza. Niestety, niezupełnie dopisała realizacja. Potrątkowana z dawidkowi postaci centralna nie podciąga, odbiorca nie wżywa się w sytuację, a stąd i cały obraz nie budzi zamierzzonego efektu.

W „Śmierci Dąbrowskiego” Sikorski zachowuje wierność wobec postulatów tzw. „szkoły łódzkiej”. Prześludowana do najmniejszego szczegółu kompozycja ma nas wprowadzić w centrum akcji. Ascetyczne wydłużenie postaci podkreśla ich czystość moralną oraz wzniosłość sceny. Mimo wszystko przeżył jest przytłumione, przesłania je intensywność filozoficznych rozważań. Jak na tragizm zbyt dużo tu refleksji, zbyt mało bezpośredniego patosu. Nawet w środkach formalnych. Subtelne rozgrywki kolorystyczne gubią się niedostrzeżone, same wymiary płótna dyktują inne podejście.

O wystawie można by pisać wiele. Jest bogata, żywa, urozmaicona. Prawie każdy z artystów zasługuje na uwagę, na osobne omówienie. Trudno jednak przemienić rezerwę w rozumiany katalog, w rodzaj przewodnika. Dlatego też ograniczyłem się do kilku tylko pozycji, na bardziej może odbiegających od ustalonej i znanych już nam prawideł. Wcale to oczywiście nie oznacza próby ustawienia pokazanych dzieł w hierarchii ich wartości.

Specjalne słowa uznania należą się komisarzowi wystawy Albinowi Lubniewiczowi. Ekspozycja jest wyborna, a zadanie było trudne wobec wyjątkowo wielkiej ilości nadanych prac, zbyt wielkiej w stosunku do rozmiarów lokalu. Jednakże przez umiejętne rozłożenie akcentów, staranne zestawienie nie konkurujących ze sobą eksponatów, osiągnięty został podstawowy cel wystawy — czytelność. W porównaniu z chaosem IV OW, co słusznie wielokrotnie podkreślano, pokaz w Galerii Łódzkiej jest wzorem ładu i prze-myślenia. Nawet niewiarliwy widz nie czuje się zagubiony, może oddać się spokojnej, swobodnej kontemplacji każdego dzieła — ku własnej korzyści i satysfakcji twórcy.

HENRYK ANDERS

ŁÓDŹ LITERACKA



WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

GŁOWA I HELM

Hans Wurstein, który dziś w Wehrmachcie
Jak szpic przed jankesami służy,
Zapomniał już widocznie, ile
Rozkoszy na wojence użył.

Pod Stalingradem stracił głowę,
Runęła w proch, pociskiem ścięta.
A że ją stracił nie w przenośni,
Więc wcale o tym nie pamiętał

To głupstwo, bo Amerykanie
Helm zamiast głowy chłopu dali
I bezgłowego uzbili,
Ubrali i wymusztrowali.

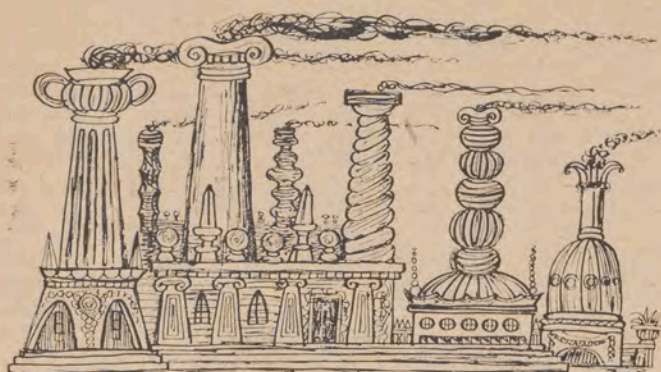
A więc butami podkutymi
Znow bryk w Zachodnich Niemczech tłucze,
Eisenhowera i Hitlera
Pojeńty, choć bezgłowy uczeń.

Bo po co myśleć? Kant niech myśli,
Niech myśli Goethe, Schiller, Heine,
A pod Wehrmachtem hełmem myśli
Nie legną się, lecz wsiy zwyczajnie.

O, opamiętaj się, mój Hansiel
Masz przecież NRD pod bokiem,
Tam Niemcy — twoi bracia idą
W innym kierunku, innym krokiem.

„Czterdzieści wieków na nas patrzyli”
Do wojsk rzekł Napoleon w transie,
Czterdzieści kłesk na twą ojczyznę
Patrzy oczyma wojny, Hansiel

Ach, nie myśl hełmem, pomyśl głową!
Nie ma jej, milczy i nie myśli,
A więc pomyślcie za Wursteina
Niemcy uczciwi, niezawisli



Łódź według projektu inż. arch. Elewacego Wystrója

JAN HUSZCZA

PRETENSJE NA MARGINESIE

Czytam wiersze o miłości,
W wierszach gwiazdki, promyk gości,

pokoik na Mariensztacie
w książkowej linii poświęcić,

wietrzyk szarpie trawki strunę,
czasem (jeden!) poczulunek.

Jakaś miłość eteryczna,
prawdę rzekłszy, aż mistyczny!

Odpowiedzcie mi, poeci,
skąd się potem biorą dzieci?

Bywam nieraz na wystawie
ja obrazów... Kłószki prawili

Można w końcu dostać młodości:
gdzieś tam ludzie z krwi i kości!

Wtedy rozpacz jęczy moja:
Przyjacie! Przecież Goya...

Goya — mówią — dawne czasy,
jemu wolno, bo on klasyk...

Klasyk także i twój Puszkini
(A opiewał Puszkini nożki...)

Gdy już buzia w naszych filmach,
no, to też... swoisty styl ma!

Nie zna tylko wiatr reguły!
Jest na kształty bardziej czuły!

On — zbierzniak, łobuz z pola —
nieraz zerka wyżej kolan!

Proszę państwa! Walka z ciałem
ma być naszym ideałem?

Toż z ręk Dulskiej (jakiejś nowej)
śni się komuś laur na głowę!

Ja, rzecz jasna, nie zgorszenie
propaguję... Sztukę cenię!

Cenię ludzką prawdę w sztuce
i się o nią — grzecznie — kłóję!



TADEUSZ GIGIER

MŁODEMU KRYTYKOWI

Do twych dydaktycznych dąsów
przydałoby się coś z wężów.

HORACY SAFRIN

OBRAŻONY JEŻ

Natknąwszy się na kaktus, oczom nie dowierzał...
„Proszę, plagiat wierz! Kwiat udaje jeża,
za wzór sobie ideal biorąc niedościgły:
mnie, co z wdziękiem prawdziwym umiem nosić igły”.

Piórka z ogona

Operetka w związku z operetką

„Kierunek natarcia — realizm!” Pod takim szumnym tytułem „Głos Robotniczy” zamieścił ocenę operetki „Madame Pompadour”, zapominając, że jest to przede wszystkim i po prostu stara operetka — w dodatku, nie z tych najbardziej melodyjnych... Żądanie od uroczystej skądinąd „Madame Pompadour” takiej ostrości politycznej, jak od wierszy Słobodnika, Millera czy Czarnego, jest co najmniej „towarzystwiskim nietaktem”... Trzeba trafiać, że łódzki Teatr Muzyczny zawiadził owa „Madame” do Warszawy i spotkał się tam z dość słuszną i rzeczową oceną, która znalazła wyraz w „Przeglądzie Kulturalnym”.

Również w „Głosie”, ale z 28. XI. 1954 r., znajdujemy ocenę „Mewy”, spektaklu w Teatrze im. Jaracza. Autor recenzji, przypominając „bogaty nurt wewnętrzny dramatu, głęboki podtekst myślowy i uczuciowy” — doszedł (czuje się to w „podtekście” recenzji) do wniosku zgoda nieoczekiwanej, że postaci powinny być jakby bezkrywe, snujące się po scenie. Na zasadzie takiego chyba „podtekstu” (słowo od pewnego czasu szczególnie modne!) zganił jedną z najlepszych kreacji aktorów przedstawienia, postać Trigorina w wykonaniu Szalawskiego.

Wydaje się, że omówienia teatralne w „Głosie Robotniczym”, piśmie o szerokim zasięgu, powinny raczej w sposób przystępny wprowadzać w spektakle, mniej zaś zajmować się wystawianiem apodyktycznych i jakże często zabawnych cenzur.

I wtedy nie będzie operetek w związku z operetkami oraz nieporozumień z „podtekstami”!

Z rewelacji

„Expressu Wieczornego”

W piśmie tym z 26. XII. 54 r. czytamy:

„Mickiewicz przyjechał do Paryża wiosną 1833 roku. Opuścił Paryż, sądząc, że powróci na krótko przed swą nagłą śmiercią jesienią 1855 roku”.

Serdecznie dziękujemy redakcji „Expressu” za ten wcale hojny wkład do naszej skromnej rubryki!

Nie mówi „tak”

nie mówi „nie”...

Ob. W. Sadkowski („Życie Literackie”, nr 39 z ub. r.) w krótkiej recenzji z satyrycznej powieści Switalskiego „Tak sobie Lipka” pisze:

„Ma ona długometrażową, pełną intrygujących zakreśłań i zawiązków akcję”...

A o kilka wierszy niżej:

„Cała ta nieskomplikowana akcja”... itd.

Więc co w końcu z tą akcją, ob. Sadkowski?!

Westchnienie

Od dłuższego czasu na łamach naszej prasy literackiej pojawiają się artykuły — niekiedy bardzo szorstkie — błądzące nad brakiem recenzji z tomów wierszy. Gdyby tę ilość miejsca na stronach pism poświęcono po prostu recenzjom — byłoby już wcale nieźle!

Nasz spółdzielczy punkt usługowy pod nazwą „Piórka z ogona” prosi Czytelników o łaskawą współpracę czyli o wycinki z prasy (z uwzgl. „Łódzkiej Literackiej”) i listy o faktach, zasługujących na uwagę punktu.



Konserwatysta
czyli Lord Strażnik Broni Hitlerowskiej

Rys. K. Baraniecki

Notatnik kulturalny

PRAPREMIERA W TEATRZE MUZYCZNYM

Ciesząc się powodzeniem Teatr Muzyczny w Łodzi wystawia od dnia 30 grudnia ub. r. operetkę Johanna Straussa „Zemsta Nietoperza” w adaptacji literackiej Juliana Tuwima. W styczniu br. Teatr przystąpi do prób pierwszej polskiej operetki współczesnej pt. „Zemsta Dedala” wg libretta Tadeusza Cyglera i z muzyką Czesława Aniołkiewicza. Mitologiczny — jak sama nazwa wskazuje — temat wykorzystany został przez autora libretta dla satyrycznego oświetlenia współczesnej sytuacji międzynarodowej. Planowana na połowę kwietnia prapremiera „Zemsty Dedala” będzie interesującym wydarzeniem w życiu wszystkich operetek polskich, które, jak wiadomo, odczuwają dotkliwy brak nowego repertuaru. Po „Zemście Dedala” Teatr Muzyczny wraca do klasycznego repertuaru, dając w połowie roku bieżącego premierę operetki Mielockera „Gasparone”.

PIĘCIOLECIE „DOMU KSIĄŻKI”

W styczniu 1950 roku został powołany do życia „Dom Książki”, przejmując istniejące dotąd księgarnie „Książki i Wiedza”, „Czytelnika” i inne. Owczesna sieć księgarska koncentrowała się przede wszystkim w śródmieściu Łodzi; „Dom Książki” postawił sobie zadanie reorganizacji tego stanu rzeczy, aby w ścisłym powiązaniu z systemem kolportażu zakładowego doprowadzić książkę do najszerszych rzesz czytelniczych.

Obecnie wśród 23 księgarni łódzkich, siedem wzorowo urządzonej i wyposażonych placówek obsługuje przedmioty. W centrum Łodzi zostały przede wszystkim księgarnie specjalistyczne (rolnicza, medyczna, techniczna, muzyczna itp.). Posiadają one pełny asortyment specjalistyczny i obsługują wszystkich tych, którzy interesują się daną dziedziną.

Kolportaż zakładowy „Książki” — w 1951 roku stawiający dopiero swe pierwsze kroki — opiera się obecnie na pracy 2.500 kolporterów czynnych w Łodzi i województwie. W samej Łodzi kolporterzy rozdawali w roku ubiegłym 1,5 miliona książek.

Różnorakie formy pracy i liczne imprezy, zamierzające do umasowienia czytelnictwa (wystawy książki, kiermasze, loterie, wieczory autorskie itp.), sprawiły, że w 1954 roku „Dom Książki” rozdawał w Łodzi i województwie 8 milionów książek. Młodemu, bo 5-letniemu jubilatowi można więc powiedzieć, że dotychczasowe osiągnięcia i życzyć dalszego udoskonalenia jego ważnej działalności.

W WALCE ZE SZMIRĄ I PARTACTWEM

Fotografia jest jednym z najpowszechniejszych środków upamiętnienia wszelkiego rodzaju ważnych i szczególnych okoliczności. Nie ma rodziny, która by nie przechowywała choć kilku zdjęć obrazujących takie czy inne fakty swej kroniki, utrwalających pamięć o tym, czy owym członku tej rodziny. Słowem, umiejętności fotografa znajdują szerokie zastosowanie.

Niestety, nie wszyscy fotografowie posiadają te umiejętności w pełni. Wystarszy, szczególnie w miasteczkach czy wsiach, rzucił okiem na pompatyczno-sztuczne fotografie „pamiątkowe”, aby dojść do wniosku, że często pamiątka jest jednocześnie brzydatwem. Dlatego też trzeba przyklasnąć inicjatywie Woj. Rzem. Sp. Pracy Fotografów i Chemigrafów, która podjęła staranie o podniesienie poziomu pracy fotografów zawodowych i amatorów. Organizując szereg punktów usługowych, spółdzielnia pragnie dobrą, fachową pracę swych członków wyrugować partactwem domorosłych mistrzów „kiczu” fotograficznego.

Wiele jeszcze zastrzeżeń nasuwa sprawa estetyki i celowości reklamy w Łodzi. Niejedną wystawą czy stoisko, wtrącającą się w życie sklepowe, wygładzającą swym zgoła nieprzyjemną i nieciekawą. Podobnie ma się rzecz z wieloma afiszami, ulotkami i napisami reklamowymi. Wszystko to razem prowadzi do częstych objawów niechlujstwa i rażącej pseudo — oryginalności.

Jednym z czynników zdających się do uporządkowania tego stanu rzeczy jest działalność Spółdzielni Inwalidów im. Hanki Sawickiej „Informacja i Reklama”. Spółdzielnia ta nawiązała ścisły kontakt z kilkoma artystami — plastykami i przy ich pomocy realizuje zadania reklamowe, zlecane przez spółdzielnię, przedsiębiorstwa państwowe i inne instytucje. Warto życzyć „Informacji i Reklamie” odpowiedniego stosunku do przedsięwziętych zadań.

REDAGUJE ZESPÓŁ. WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH, ODZIAŁ W ŁODZI

Adres Redakcji: Łódź, Mickiewicza 8, m. 8
Godziny przyjęć Redakcji: poniedziałki 17-18, telefony 180-59. Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź,
Zwinki 17. Zam. 88. — D-6-6512
Papier satyn. kl. V.

CZESŁAW SCHABOWSKI

BIAŁE CYTRYNKI

Starszy referent PiP (Porządków i Planowania) ze Zmierzewskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego, obywatel Prościwoździk, był tak wrażliwy na wszelkie marnotrawstwo, że otrzymawszy od sprzedawcy w piekarni chleb zawinięty w papier nieco dłuższy ponad objętość bochenka, robił z tego pomiary, pisał protokoły, załączał do nich „kopie” inkryminowanego paska papieru, porywał do PSS i do redakcji gazet z „prośbą o wydrukowanie” oraz uszędzie tam, gdzie z paska papieru można było zrobić tzw. użytek.

Troska o dobro społeczne rodziła w ob. Prościwoździku niemal fantastyczne pomysły oszczędnościowe. Mawiał, że niepotrzebnie nosi się w zimie marynarki z rękawami:

— Starczyłyby rękawy podkoszulka, koszuli, pulowera, palta i ewentualnie jakiejś kurteczki. Po co jeszcze rękawy przy marynarkach?

Nawet obmyślił projekt takiej marynarki a la bombajka, nazwał tę przyszłą rewelację „bombą zimową” i model z prośbą „o przychylnie rozpatrzenie” posłał do ministerstwa, skąd przyszła odpowiedź nadspodziewanie rychła, że „owszem, ale niestety”.

Obywatel Prościwoździk myślał, że powodem tego „owszem, ale niestety” był brak cyfr i danych, obliczył co do grosza miliony oszczędności na milionach metrów tkanin zużytych niepotrzebnie na rękawy marynarek zimowych, posłał ów wywód do ministerstwa, skąd odpowiedziano jeszcze rychło, że „owszem, ale niestety”.

chleb, ale, jak przedtem, że „owszem, ale również niestety”.

Słowem, o obywatelu Prościwoździku mawiano się w Zmierzewie: „Jakie szczęście, że człowiek ten nie siedzi w ministerstwie: chodzilibyśmy bez portek”.

— Ale obywatel Prościwoździk nadal myślał nad tym, jak przyczynić się do obniżenia kosztów własnych w skali ogólnoparostwowej, nachodził różne instytucje jak grafoman redakcyjne, czekając cierpliwie na swoją sześciogwiazdową gwiazdę. Do pracy chodził wciąż tymi samymi ulicami, „Ulicą Pięciu Litrow Octu”, „Aleją Róż Bolesciwych” i „Bulwarami Piohunów” — ślepy na wszystko, co się na tych ulicach działo. A działo się bardzo niedobrze, bardzo nie po prościwoździkowskiemu. Mianowicie: łobuz z ulicy Piohunów upodobał sobie dziwną zabawę, polegającą na ciągłym papraniu się w wapnie. Pewnego dnia łobuz zalepił wapnem okna kilku parterów z rzędu; kiedy indziej wysmarował prawie wszystkie płoty Zmierzewa na biało; albo brali na łopatki grudki wapna, jak piłki tenisowe na rakietę i ciskali tym w przechodniów; to znów rzucali grudkami wapna na drzewa Alei Róż Bolesciwych i wołali do referenta Prościwoździka:

— Proszę pana! Proszę pana! Białe cytrynki u nas rosną!

Nawet wtedy, gdy w parku zaczęły się pojawiać na drzewach „białe cytrynki”, Prościwoździk też się nie zainteresował, gdzie jest źródło marnotrawienia wapna, z którego już chyba od roku mikrusy korzystały. A ci znowu wymyślili jeszcze dowcipniejszą zabawę: gdy tylko ukazał się ktoś na ulicy

Pięciu Litrow Octu, zwłaszcza w pobliżu pewnej posesji, o której referent wiedział, iż robią w niej remont — zaraz rozległy się dzikie okrzyki:

— Stasiu! A przypalantuj temu dziadzyde białą cytrynkę na łysinę!

— Ciap!

— Chlap!

— I jeszcze temu w okularach! Celuj w szkła!

— W prawe czy w lewe?

— Już się tak wytrenowałem?

— Ehe! Chcesz, załóżymy się!

— Wal, wal! Ekstracugiem!... bo zapas się kończy!

— Będzie nowy! W Alei Róż Bolesciwych też są dwa remonty! Mają przywieźć nie tylko wapno, ale i gips, i cement! Ech, będzie frajda!

— A jak zaczną zaraz remontować?

— Zfrajerowaleś? Chyba za dwa lata!...

I na to uwagi nie zwrócił Prościwoździk. Dopiero gdy siedział raz do biura z piętrem wapna na plecach, a ludzie zaczęli śmiać się na cały głos, pokazując go palcami, nasz referent się wściekł: zawrócił, dopiłnował chuliganów, chwycił jednego za ucho, zagroził miłoją i kazał się zaprowadzić do „wapiennika”.

Malec, ciągniony za ucho, płakał rzewnie i prowadził referenta do owej posesji, jakoby remontowanej. Lecz gdy przyszedł na miejsce, okazało się, że źródło, które jeszcze do niedawna tak obficie tryskało wapnem, już wyschło. Pozostała po nim olbrzymia, białoszara plama na podwórku i jeszcze coś niecoś śladów po innych materiałach: resztki cementu, drzazgi po deskach, złamane taczki, kilkanaście odłamków cegieł. Wtedy obywatel Prościwoździk zaczął zastanawiać się, czy przypadkiem nie posyłał tu kogoś z materiałami na remont, i czy budynek ten nie zawie-